



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Z wycieczki do Ameryki : kilka wspomnień / Michał Janik.

Liczba stron oryginału

120

Liczba plików skanów

120

Liczba plików publikacji

121

Sygatura/numer zespołu

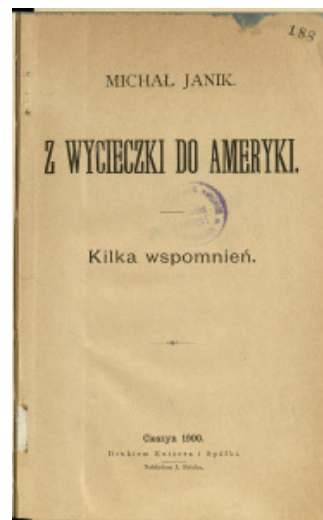
KD I 00158

Data wydania oryginału

dr. 1900

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



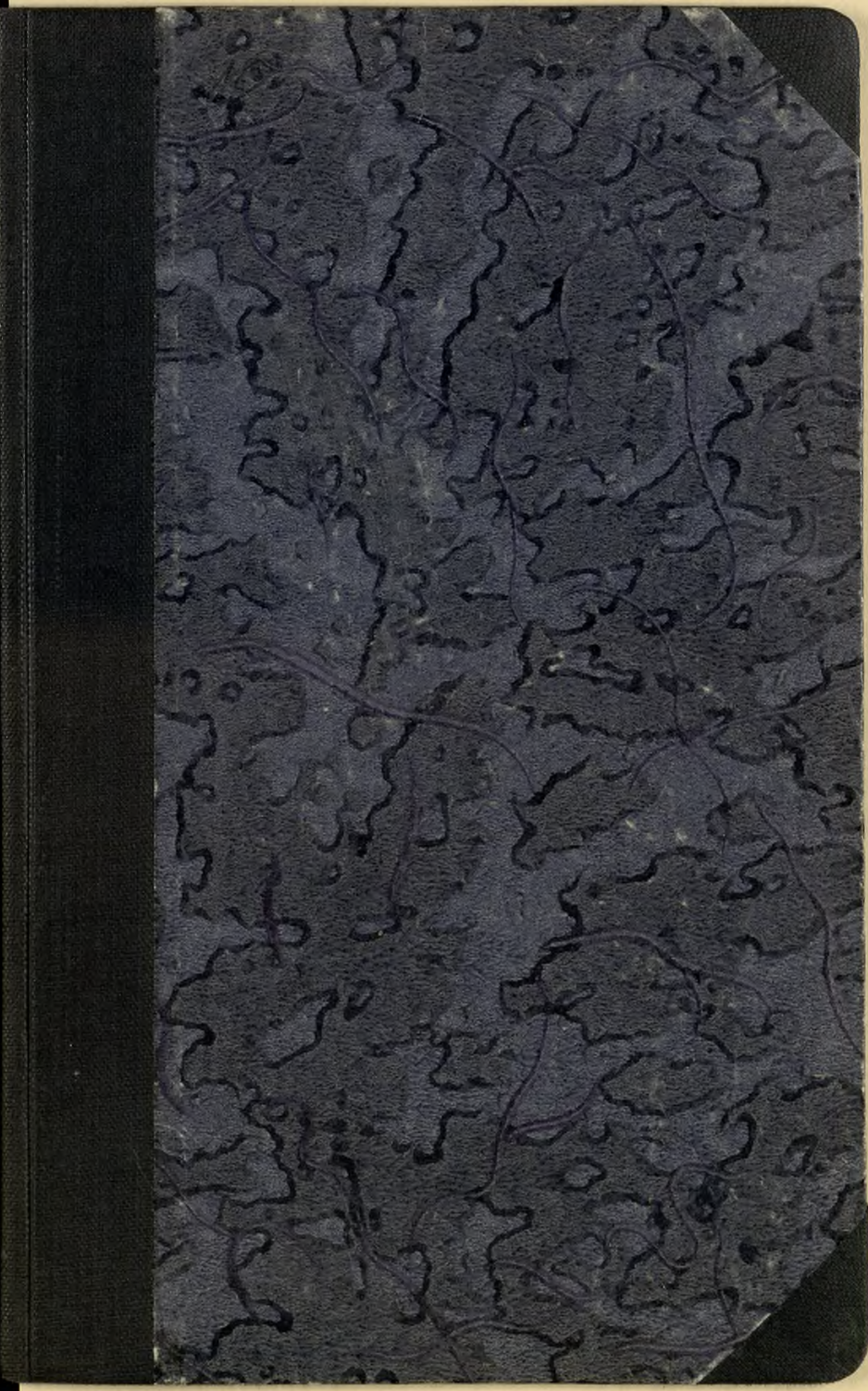
**Fundusze
Europejskie**
Program Regionalny



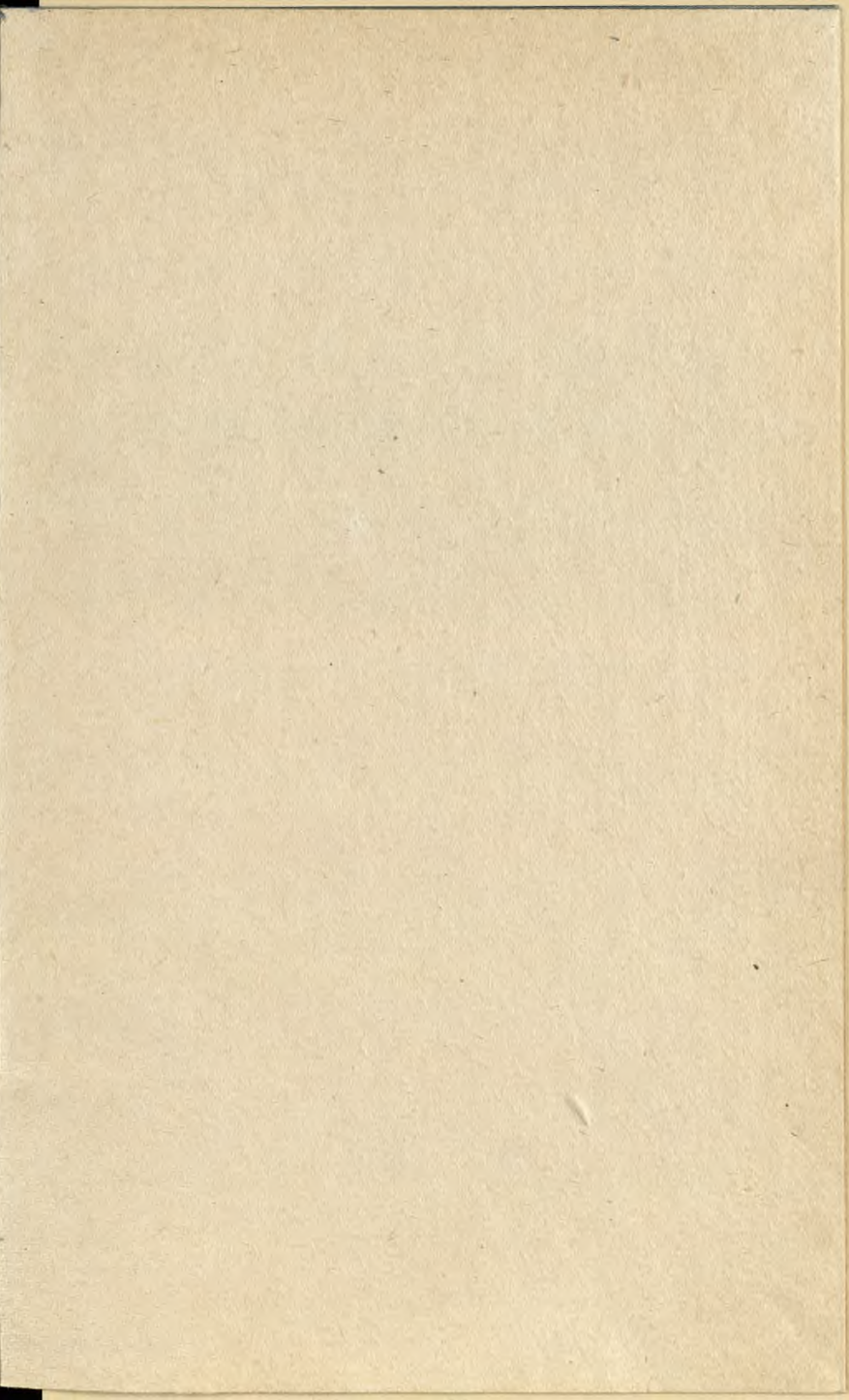
Śląskie.

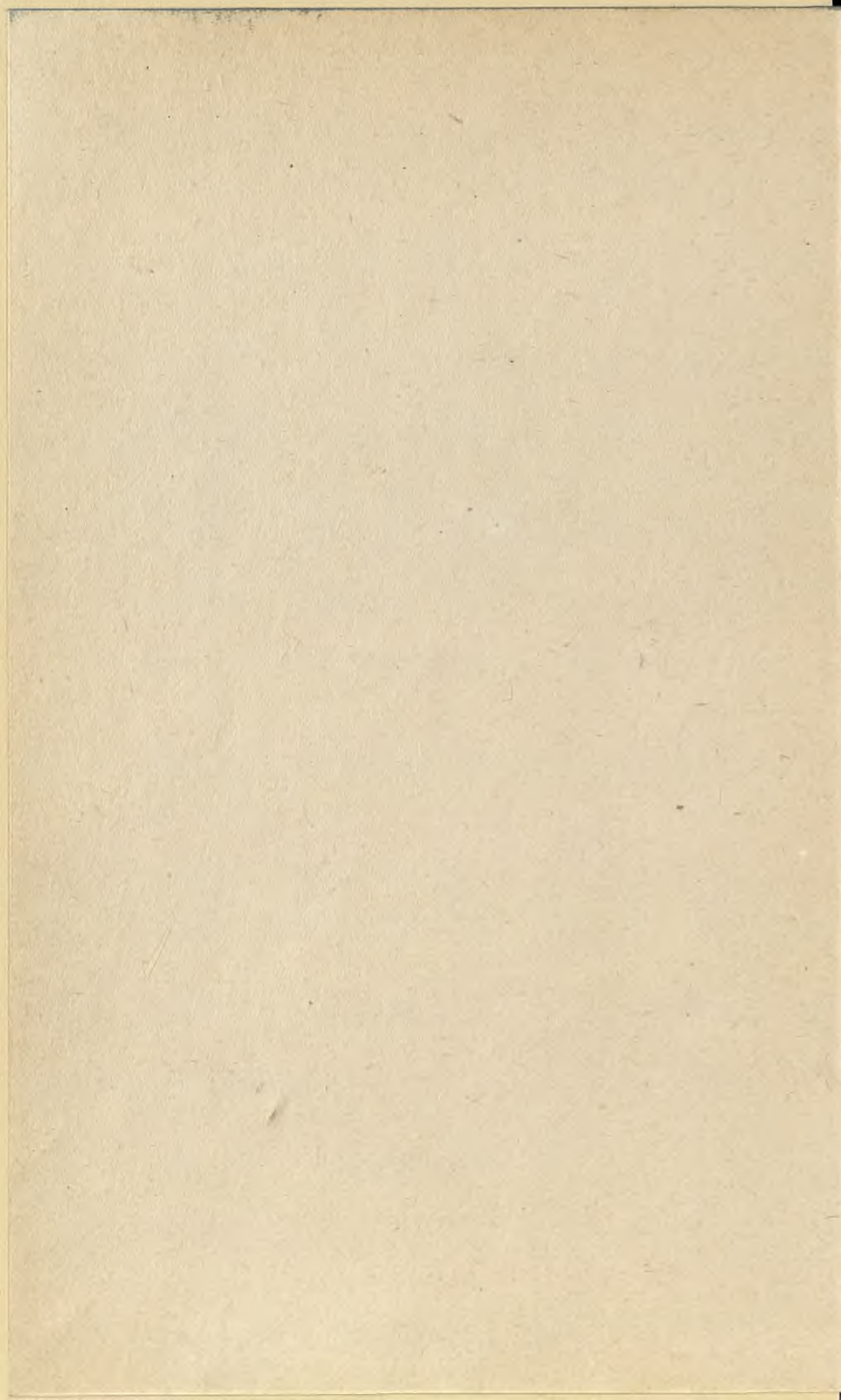
Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego





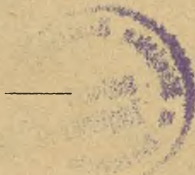






MICHAŁ JANIK.

Z WYCIECZKI DO AMERYKI.



Kilka wspomnień.

Cieszyn 1900.

Drukiem Kutzera i Spółki.

Nakładem J. Polaka.



SL
917.3 (047)

9170



KD I 158

KD 158

917.3 (047)

JAN BRODA

7 75/94
10.000.

X 2/2



Już byłem w Bremie, a myśl moja nie oswoiła się jeszcze z tem przeznaczeniem, że nazajutrz uniesie mnie chyży parowiec ku brzegom Antypodów. Wycieczka też to zuchwała, obliczona na krótki czas wakacyjny. Nawet w dniu odjazdu niepewność jeszcze jakaś i wyczekiwanie. Lecz niebawem klamka zapadła. Bilet kupiony, a szybka kolej wiezie mnie do Bremershafen, gdzie nasz parowiec oczekuje przybyś-zów. Jeszcze malutkie śniadanko na stałym lądzie wśród tłumu różnonarodowego i oto wchodzimy po kładce na statek. Jeszcze kilka drobiazgów w spra-wach pasażerów, — naraz kładkę odjęto, a statek nasz sunie zwolna i z powagą na morze. Tłumy żegnających wysuwają się na ostatni cypel lądu, na-wołują i powiewają chustkami. Odległość zwiększa się; żegnający maleją, nikną, — jakieś drgnienie osamotnienia przebiega serce. Przepadło. Statek nie wróci. Chyba wpław jeszcze ku brzegom zechcesz się dostać. Gdyby odległość od ziemi nie tak daleka!

Chłodno przyjęło mnie morze. Jakieś sine, rozko-lysansane i mgłą spowite, najeżyło ciężkie bałwany jak zwierz swą odzież w dzień chmurny. Pierwszy raz w życiu na nie patrzyłem. Jakieś nieokreślone uczucie nicości chwyta i dławi całe moje jestestwo, myśl gdzieś w głąb ucieka, a oko chciałoby wyrzucić się z za powiek i odpocząć na jakiejś stałej powierzchni. Napróżno ślizga się po rozwełnionem przestworzu;

przedemną, za mną i obok mnie przewalają się ciężkie wody, nakryte chmurną, ołowianą kopułą niebios. Zwolna, bardzo zwolna otrząsam się z tych nagłych, a przeciągłych wrażeń. Dolatują mnie przeróżne głosy, więc odwracam oczy od ponurego widoku i patrzę na ludzi.

Gwar różnojęzyczny wre w najlepsze. Wsuwam się zwolna w gromadę i patrzę w oczy mimo przechodzącym z tą samą ciekawością, z jaką oni na mnie spoglądają. Mało kobiet i niezbyt urodziwe. Jedna tylko wiotka jak gazela, bladolica Angielka, zatrzymuje dłużej moją uwagę. Reszta to matrony, lub trzpioteczki, jakich się w życiu tyle napotyka. Naraz rozlega się dzwonek; przedemną staje ukochany towarzysz podróży, ks. Siwiec, bywalec na morzu i objaśnia, że to znak na posilek. Spieszymy razem z innymi.

Przy stołach towarzystwo bardzo rozmaite. Obok sztywnych i skupionych, kramarską gentelmeneryą trącących Anglików — opasłe, niezgrabne i rubaszne buczerzy i salunisty niemieckie, zbogacone w złotodajnej Ameryce. Wyjeżdżają od czasu do czasu na knedle lub po szace do Vaterlandu i wracają po złoto do nowej ziemi. Rozmowa toczy się po angielsku — mówią nią i Niemcy — bo dla handlarzy najważniejszą mowa byznesowa, a tą jest angielska. Niemcy, pomawiani w Europie o sentymentalizm i patryotyzm, nie sprawiają tego wrażenia przy zetknięciu się ani na chwilę. Ja i księżulek gawędzimy po polsku i stajemy się przez to w naszym kąciku przedmiotem ciekawości.

Szybko zawiązują się znajomości. Gromadka nasza polska powiększa się do czterech osób; w trzecim dniu podróży przyznał się do nas jakiś młody

mężczyzna od Przerowa, zdaje się Słowak. Rzucony na grunt Ameryki, zapomniał nieco własnej mowy, obcej nie wyuczył się dobrze, a ponieważ z natury był małomownym, więc przyjaźń nasza ograniczała się na krótkich bardzo pogadankach. Jeżeli z niesłychaną przyjemnością gwarzyliśmy w ojczystej mowie na pokładzie, a kółko nasze stało się, jakoby jedną duszą, przyznać jednakże trzeba, że i obcojęzyczni towarzysze, z wyjątkiem typów zupełnie niesympatycznych, przypadali jakoś do serca. I coś dziwnego. Związani wyrokiem losu w jedną gromadkę, tworzymy w miniaturze cały świat zupełnie zamknięty. Wspólne przyjemności i niebezpieczeństwa są naszym udziałem, więc znikają zawiści narodowe, a czujemy się tylko ludźmi.

Jeżeli ktoś nie rozumie wszystkich języków, jakimi się mówi na pokładzie, żałuje tego szczerze, bo wskutek tego pozbawia się nieraz prawdziwej przyjemności, pogawędki swobodnej z jakimś nowopoznanym, a miłym towarzyszem. Ta też okoliczność jest nierzadko powodem rzetelnej rozrywki zwłaszcza, gdy się to zdarzy z Anglikiem. Kupiec z Albionu nie uczy się, jak wiadomo, prócz swojej, żadnej innej mowy, a ponieważ jest z natury bardzo praktycznym, więc chciałby wyzyskać każdą nową, tem bardziej do gustu mu przypadającą znajomość. A wtedy przychodzi mu w pomoc ów pierwotny sposób porozumiewania się ludzi, tj. rozmowa na migi, połączona z wydawaniem różnych dźwięków i tworząca prawdziwie pocieszny wołapik. Obserwowanie takiej pogadanki doprowadza widza do homerycznego śmiechu, który tak zdrowym jest na każdym miejscu i o każdej porze. Sympatya ta ogólna międzynarodowa powiększa się, rzecz oczywista, w miarę równości wieku, a róż-

ności płci. W tym ostatnim wypadku i różność wieku bywa pożądaną, o ile zmniejsza lata piękniejszej połowy rodzaju ludzkiego. Wtedy też i wielojęzyczność w wszelkiem tego słowa znaczeniu staje się nieocenioną.

Gdyby to kiedy na stałym lądzie takasama zgoda międzynarodowa zapanowała, o ileż byłby cały świat szczęśliwszym. Nikt nic nie wydziera drugiemu, bo nawet w jedzeniu wspólność, a każdy radby żyć z drugimi i rozumieć ich jak najlepiej. Te same prawa dla wszystkich i tensam Bóg u góry. Na morzu stają się naprawdę ludźmi ci, co na ziemi na podobieństwo zwierząt wydzierają innym chleb i prawa. Język i wolność narodową, a dla potwierdzenia gwałtu oparli porządek rzeczy na bagneć i przewrotności. Wybaczcie mi, drodzy czytelnicy, te morskie refleksye; umieściłem je, bo one stanowią własność tego morza, które je zrodziło i po którym płynę naprzód na daleki Zachód, do owego nie bez cząstki słuszności tak nazwanego »kraju wolności«.

Płynę — i patrzę — a tam na zachodzie
W różowym blasku promieniają fale,
Słońce się schyla i biegnąc ku wodzie,
Rumieni niebo w precudne korale.

I tyle blasków przedemną się toczy,
W tyle rumieńców oblekł się świat boży,
Że duszą w własne zamieniony oczy,
Czekam, czy może niebo Bóg otworzy.

Bo jakichś światów rysują się kręgi,
Wyspy czarowne widnieją w oddali,
A między niemi jakby żagłów wstęgi,
Melodyi jakichś jakby dźwięk na fali

Nie! To złudzenie! Znów wybiegło słońce,
Ogromne, świetne, na wodach stanęło,

Puściło blaski nowe w świata końce
I w wód przestworzu nagle utonęło.

Ha! Snać złudzenie życiem jest człowieka,
Zniknęły blaski i czarowne róże,
Woda się srebrną odzieżą obleka,
I znowu błękit dokoła i w górze.

Błękit na niebie; gdyby błękit w duszy,
Milczący, piękny — na życia spoczynek!
Ciszy błękitu raz tylko dla duszy,
Na przeżytego życia upominek. . .

Cudowne zaiste są te zachody słońca na morzu. Ponieważ pogoda towarzyszyła nam przez całą prawie drogę, więc podziwialiśmy je niemal codziennie, wpatrując się w grę światła, czarownie piękną, a codziennie odmienną. Gdyby nie było żadnych innych wrażeń, one już same zasługują na to, aby śmiertelny człowiek podziwiał nieśmiertelne to piękno, zjawiające się o zachodzie na przestworzu słonych wód oceanu.

Po zachodzie słońca rozpoczynają się owe rozkoszne, choć krótkie wieczory, a potem rozkoszniejsze jeszcze noce. Nasz statek zaiskrzył się cały od świateł elektrycznych; na pokładzie zagrała muzyka. Obrano niefortunnie patryotyczne utwory niemieckie z ostatniej wojny francusko-pruskiej. Był to śnać niepożądany akord w pożyciu międzynarodowym na okręcie, bo niemal równocześnie rozległo się przeciągłe gwizdanie. Hasło dali biegli w tym sporcie Amerykanie, a za ich przykładem poszła większa część towarzystwa męskiego. To też niebawem urwała muzyka, aby już nigdy nie wrócić do podobnej próbki, a ogólny śmiech był odpowiedzią na chwilowe zamęcie międzynarodowego pokoju. Gwar i zabawa przeciąga się do późna, wreszcie wszystko milknie. Statek, jak wierna

a niestrudzona piastunka, kołysze wszystko do snu. Tylko on sam czuwa, nie zasypiając ani na chwilę, a maszyna jego trzęsie się, huczy i posuwa nas na przód, w ciemną dal oceanu.

Z daleka kędyś przywędrowała mgła sina i spowiła nas cicho, jakby na palcach stąpając, gęstym całunem. Nie podobало się to maszynie, zapewne dlatego, że stawiała zaporą w wytrwałej jej pracy i widok w drodze przesłaniała. Od czasu do czasu objawiała swe niezadowolenie rykiem potężnym, jakby z piersi stu wołów i przeciągłym, jak gdyby w obawie. aby nie zbłądzić i znowu milkła. Słuchałem z grozą ryku i daremnie usiłowałem przedrzeć się okiem przez ciemne obszary. Zwróciłem je w dół, gdzie błyskotało tysiące światełek. Przypomniałem sobie, co czytałem niegdyś w książkach o fosforescencyi na morzu. Malutkie żyjątka przebiegają po fali, czy nad nią i iskrzą się tysiącem światełek. Śpią ludzie, usypia morze, mgłą spowite, żyje tylko maszyna i te tysiące żyjatek i ja, w ich ruchy wpatrzony. Czas i mnie wrócić na spoczynek. Spojrzałem jeszcze dokoła — nieprzebita ciemność i milczenie, światło elektryczne osnute mgłą, ledwie tli się dla oka jakby jakieś błędne majaki, unoszące się nad bezdenną przepaścią. Nie inaczej zapewne wyglądał wchód do Acheronu, którędy dusze starożytnych zstępowały do życia po-zagrobowego.

Towarzysz mój spał już głęboko. Spocząłem i ja w cieplej kołysce, a myśl moja pobiegła na ląd, do ojczyzny, patrzyła rozmarzona w twarze znajome, w dusze ukochane, aż wreszcie zwolna poczęła się gubić i uciekać odemnie...

Przemija dzień za dniem. Znajomości zacieśniają się coraz silniej, zabawy coraz żywsze i różnorodniejsze. My obaj z księżulką i z jowialnym p. M., Polakiem, a równocześnie obywatelem New-Yorku, wybraliśmy się na międzypokład. Spodziewaliśmy się znaleźć swoich i nie doznaliśmy zawodu. Wśród liczного tłumu znaleźliśmy sporą garść naszych wychodźców z Królestwa, z Galicyi, z Poznańskiego i Śląska, a nawet z Litwy. Poznali się już razem i gawędzili. Pozdrowiliśmy ich po polsku, czem sprawiliśmy im niemałą pociechę. Poczęła się długa rozmowa. Jednych, zwłaszcza młodszych goni chęć polepszenia sobie bytu, innych wzywają krewni, innych nareszcie pędzi smutna nędza. Większość żałuje wyjazdu, zwłaszcza starsi, już teraz budzi się tęsknota za krajem, a choroba morska przyłącza się za towarzyszkę cierpienia! Narażeni są na nią wskutek ciągłego kołysania się statku, które tu na dole bardzo silnie daje się odczuwać. Tylko małym dziatkom nic to nie szkodzi, bawią się razem lub patrzą ze strachem na wodę, która rozlana w bezbrzeż, ciągle ta sama, groźna, nieskończona.

Mój Boże! Myślałem sobie, słuchając kolejnych opowiadań, przepełnionych nieraz gorzką skargą, dlaczegoż dałeś nam ziemię piękną i bogatą i uczyniłeś nas na tej ojcowiznie naszej niewolnikami. Obca pięść przygniata nas, obcy ludzie wydzierają nam chleb, a my musimy rzucać ziemię, którą nam przeznaczyłeś, by iść na tułaczkę po świecie. Zgrzeszyliśmy może, ale cierpienie nasze już długie, a złość nieprzyjaciół wielka! Kiedyż wrócisz nam wolność i szczęście?

Wróciliśmy do swojej kajuty i spoglądając na fale, rozpoczęliśmy pogadankę o naszych losach, bolach i nadziejach. Nieraz gorycz wydobyła się na usta, lecz ani na chwilę nie opuściła nas wiara, iż stanie się jeszcze kiedyś to, co nam święte i jeśli nie my, to dzieci nasze doczekają się jaśniejszych promieni słońca. Tylko kochać i pielęgnować, co swoje, a moce piekielne nie zwyciężą nas! Miłość i wiara dadzą nam szczęście choćby i w cierpieniu, — one też dadzą i zwycięstwo. Wejrzy Bóg na wierne sługi i wyrzuci nikczemne wrogi, aby nie kalały świętej ziemi naszej.

Życie narodów, to jak ów statek, na którym płyniemy. Ma wytkniętą drogę przed sobą, ale ileż to zagraża burz, mgieł, skał podmorskich i innych niebezpieczeństw. A jednak choć każdy wie o tem, cò grozi, płyniemy z falą, a sternik, wiodący nas, nie może ani na chwilę opuścić swego posterunku. Sternik — to ideał narodowy, płynący z prawa przyrodzonego. Jeżeli chcemy żyć, musimy płynąć naprzód i naprzód — bez względu na niebezpieczeństwa, a ten, co kieruje losem statku, ten i narody doprowadzi do portu lub pogrąży je w głębokościach morskich.

Ciągle i ciągle te moje smutne refleksye, choć one całkiem niepotrzebne. Moja sąsiadka zauważyła to zapewne jakimś przecuciem, bo patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby chciała mnie zmusić do marzeń o szczęściu i wesołości. Czynię tedy jak najdystyngowańszy ukłon i ze słodkiem: *•Good morning•**) podaję rękę wiotkiej misseczce. *•How are you, mister professeur•***), odpowiada powabna Albionka i nawiązuje rozmowę językiem Londynu. Niestety, nie wła-

*) Po polsku: Dzień dobry.

**) Po polsku: Jak się Pan miewa, panie profesorze.

dam nim dobrze, zdobywam się na jakiś zwrot, którego śmiałość i język musi mi nadobna towarzyszka wybaczyć. Mówię mniej więcej: »*I am sorry, that I can not only two phrases: I love You and You obliged love me*«^{*)}).

»*Very well, very well*«^{**)}) — odpowiada niezakłopotana Albionka. Rozmowa nasza ciągle się urywa i ciągle się nawiązuje na nowo ku wielkiej pociesze kochanego księżulka, który z ojcowską pobłażliwością patrzy na wyskok młodości. Przytem Angielka, choć prezbiterianka, potrafiła pozyskać i jego sympatye. Morze bawiło ją niesłychanie, bo podobnie, jak ja, jechała po morzu raz pierwszy, a rozmowa z gentelmenem innej narodowości niemniej zapewne wydawała się interesującą.

Co było robić? Wplątany w słodkie sieci — nietylko nasze kochane Poleczki umieją niemi opłatać — i wciągnięty w rydwan piękności, pobieglem z nią ku potworkowi^{***)}, przy którym kilka osób bawiło się w najlepsze. Gra trwała kilka godzin — dla mnie z rezultatem ujemnym, lecz miłym o tyle, że wygrana dostała się adorowanej.

Tego dnia zabawa trwała dłużej niż zwykle, a gdyby kto z moich towarzyszy był równie niedyskretnym jak ja, mógłby opowiedzieć, że długo długo po zachodzie słońca stał ktoś oparty o baryerę okrętu i patrzył w dale morskie, a tymczasem para młodych ludzi rozmawiała na temat, wszczęty jeszcze przy pierwszym rendez-vous w raju, nie myśląc o tem

*) Przykro mi, że nie umiem więcej jak tylko dwa zwroty: ja kocham Panią, a Pani musisz mnie kochać.

**) Bardzo dobrze, bardzo dobrze.

***) Zabawa na okręcie, przy której do paszczy potworka wrzuca się pieniądze.

wcale, że wszystko na świecie jest marnością, a okręt, którym płyną, to łupinka, rzucana po przestworzu wód. Lada chwila może zniknąć w głębinie i posłać nas na przedwczesną ucztę do gościnnego stołu dziadzia Nereusa, który obsługuje pięćdziesiąt nadobnych dziewcz, cór jego, wiodących spokojny i szczęśliwy żywot wśród pereł i koralów zdala od zgiełku światowego i nienawiści ludzkiej. Niestety! Na samym dnie morza!

* * *

Siądmy dzień już dobiega. Znajdujemy się pod $40^{\circ} 32'$ szer. geogr., a $71^{\circ} 41'$ dł. geogr. Wody i wody, ciągle te same, niezmierzone, a nad nami ogromna kopuła niebiosów. Wydaje się człowiekowi, że gdyby wrzucić cały świat ludzki i wszystkie dzieła ludzkie w te bezdnie przepaściste, fala zakryłaby je bez śladu, łamiąc się spokojnie jak przedtem, — potworna, lubieżna, potężna . . .

Marynarze mówią, że jutro zawiniemy do przystani. Jutro! Już jutro! Bogu dzięki! Nareszcie! Jutro! Już tak prędko! Dotkniemy stopami ziemi, rozsypie się cały nasz świat, znikniemy w niezliczonej gromadzie ludzkiej, rozdrobnimy treść naszych myśli . . . Piękna Angielka będzie czarować Yankesów; — ustanie spokój i brak troski o codzienne potrzeby życia. Znikniemy w tłumie, a ogromne wody będą się dalej przewalały od brzegów Europy do Ameryki; na ich grzbiecie zakolyszą się nowe światki, ułudne, piękne, znikome, jak wszystko na świecie.

Jutro — biegnie z ust do ust. Kielichy za szczęśliwą podróż krążą w wielkiej obfitości, choć to jeszcze 400 mil angielskich do brzegu. Jakaś czułość ogarnia

wszystkich: szczęśliwi starsi, lecz najszczęśliwsi młodzi, korzystają z pierwszych chwil pożegnania, które dają żegnającym osobne i nadzwyczajne prawa.

Przyszło jutro. Bliskość lądu zapowiadają krążące gęsto po morzu żaglowce i zwinniejszy dziś niż zwykle ptaszek morski, który przez całą drogę nam towarzyszył i unosił się przez całe dni nad wodami, by spocząć pod wieczór na maszcie. Woda ciemnieje, a na jej powierzchni pływają niezliczone roje jakichś morskich stworzonek. Delfiny wyskakują z wody, zataczają zwinne łuki w powietrzu i znów znikają w falach. Ruchy ich powtarzają się rytmicznie; — nareszcie ustają. Wszyscy dziś na pokładzie wyglądają brzegu. Kto też będzie tym szczęśliwym, który pierwszy zobaczy ziemię.

Niemало mija godzin; — dopiero późno po południu ujrzelіśmy szarzącą przestrzeń w oddali. Ziemia! Ziemia! Dwie godziny drogi, które nas od niej oddzielają, wydają się wiecznością. Nareszcie wjeżdżamy w obszerny port nowojorski, po którego powierzchni igra już morze różnokolorowych światła. Olbrzymie pancerniki śpią na kotwicach. Biedny ten dumny Hiszpan! Jakaż potęga szlachecka zdoła się oprzeć tym potworom kupieckiej, dorobkiewiczowskiej Ameryki? Oto, na widok swej floty wydają Amerykanie przeraźliwe wrzaski, których dysharmonia nie da się z niczem porównać, a przypomina chyba okrzyki dzikich plemion indyjskich, właścicieli niegdyś tej bogatej ziemi, na które rozrosło się bujnie nowe plemię i nowe życie. Dokoła nas ruch ożywiony, jakby na stałej powierzchni. Mnóstwo strojnych steamerów*) wiezie wśród dźwięków muzyki rozbawione dzieci New-Yorku na wycieczkę. Jest gdzie się bawić.

*) Małych statków.

Pobliskie wysepki zapraszają niezwykłym wdziękiem do miłej ustroni, w której piękność przyrody zdaje się walczyć o pierwszeństwo z rozkoszą domków i pałacyków, stworzonych przez człowieka. Zewsząd dolatują nas radosne i głośnie okrzyki powitania. My, jak zwyczajcy, suniemy zwolna naprzód. Przed okiem wznosi się wspaniały i olbrzymi posąg Liberty,*) z pochodnią w potężnej dłoni. Symbol to Stanów Zjednoczonych, a dar podobno Francyi. Posąg ten jest tak ogromny, że jego ręką prowadzą schody, którymi można wygodnie dostać się na wierzch. Nowy York błyszczy na wybrzeżu miryadem światel, na przeciw wtoruje mu Brooklyn, a obydwa ogniska światowego przemysłu wiąże tonący w blasku światel Brooklyn-Bridge,**) największy most na świecie. Gra światel olśniewa; — wydaje się, jakby okręt odwrócony płynął przez błękitny niebios. Podziwiać — zaprawdę — wielkie dzieło znikomej dłoni ludzkiej!

Lecz oto statek już dobija. Szukam ks. Siwca naszej gromadki i pięknej Albionki. Piękną znalazłem najprędzej, czynię więc gentelmeński ukłon i podaję jej końce palców. »*Good bye, Miss!*«***) rzekłem. »*Good bye, Mister!*«†) odpowiedziała. »Kiedyż się obaczymy i gdzie?« »W teatrze w Chicago dnia 26 lipca« — mówię prędko i uciekam ze spokojnem sercem. Odrzekła: »Dobrze.« Angielka słowa dotrzymuje, więc, więc... co będzie, to przyszłość pokaże. Znalazłem potem księżulka i szybko zbiegliśmy, jak dwa zwinne ptaki, na ziemię.

*) Wolności.

**) Most brokliński.

***) Do widzenia, Pani!

†) Do widzenia, Panie!

Co za błogie uczucie! Dziwi mnie prawie, że już nie kołyszymy się i nie chodzimy jak św. Piotr po wodzie. Ziemia pod naszymi stopami, a my w Nowym Yorku, a przed nami ogrom szerokiego kraju, na którym tyłu moich rodaków przemieszkują, a między nimi mój wuj kochany, do którego chciałbym ulecieć na skrzydłach. Nic nie wie o mojej podróży, telegrafuję więc po polsku w najbliższym urzędzie i spiesząc z towarzyszem, aby wyszukać hotelu, rozmawiamy, jak wielka to będzie niespodzianka i układamy plan do dalszej drogi.

Jestem więc w Ameryce, w tym pięknym kraju, do którego się tyle razy wyrywała wyobraźnia dziecięcia, gdy czytałem jeszcze na szkolnej ławie dzieje Robinzона i powieści Coopera. Tu żył wielki Franklin i Waszyngton, tu walczył Kościuszko za wolność. Jak mnie przyjmie, powita, jak serce pobudzi, ta, znana mi tylko z książek i powieści, ziemia Ameryki!

* * *

Smacznym był pierwszy nocleg na stałym łóżku. Wielkie, prawie kwadratowe łóżka amerykańskie dają wyborny spoczynek najbardziej umęczonym i najkapryśniejszym członkom ciała ludzkiego. Odświeżonych i wypoczętych powitał nas piękny, choć nieco za skwarny dzień słoneczny. Służący hotelu załatwił wszystkie nasze drobiazgi i kłopoty z podziwienią godną i nieporównaną szybkością i zręcznością. Łóżka zamknęły się za nami, tworząc duże, kryształowe zwierciadła, tak, że wchodzący Europejczyk mógłby bez wahania zapytać: »Czyż panowie w Ameryce spędzają noc na podłodze?« »Nie, mój drogi panie«

— odpowiedziałby mu Amerykanin — »lecz nasi goście hotelowi otrzymują na noc sypialnię, a na dzień pokój bawialny, a wszystko za tę samą opłatę. U nas musi mieć każdy wygodę, bo u nas wszystko *all right**), a każdy obywatel jest równy.« Europejczyk potrząsłby zapewne głową z niedowierzaniem, lecz cóż obchodzi Amerykanina cała Europa. To kraj zafowania i przesądów, a samo tylko opowiadanie o nim wzbudza nawet w duszy malutkiego *boya***)) łaskotliwe dreszcze śmiechu i lekceważenia. Pozostawmy więc wielkim i małym obywatelom Ameryki ich miłość własną, a sami pójdźmy rozglądać się po dwumilionowem zbiorowisku ludzkim.

Bogiem a prawdą — iść nie mamy potrzeby, gdyż kolej powietrzna, biegnąca ponad jedną z ulic wzdłuż całego New-Yorku, uniesie nas, dokądkolwiek zechcemy — i to za marne 5 cencików.

»Cóż mi ksiądz ciekawego pokaże,« pytam towarzysza. »Może oglądniemy muzea lub kościoły.« »Szkoda czasu,« odpowiada mi towarzysz. »Możnaby i to oglądać, lecz po europejskich osobliwościach tego rodzaju nie znalazłbyś pan u nas nic godnego widzenia. Nasz świat — to dziedzina przemysłu i wszelakiego *businessu****). Nie twierdzą, jakobyśmy byli w sztuce niemowlętami; malarstwo i architektura wydały już i u nas wiele arcydzieł. Nie stały się one jednakże naszą duchową potrzebą — ogół nasz dba o wygodę i ta jest mu w życiu nieodzownie potrzebną, lecz dla potrzeb duszy wystarczą mu błaznowie lub genialni kuglarze. Wszak mieszkańcy nasi — to sami prawie przybysze i dorobkiewiczze. Mu-

*) Jak się należy.

**) Chłopca.

***]) Korzystny interes lub zajęcie wszelkiego rodzaju.

simy zaczekać, aż się wszystko stopi w jeden kruszec szlachetny o różnolitych odcieniach indywidualnych i narodowościowych, a wtedy przy rozwinętem u nas szkolnictwie i wyrobieniu poczuć obywatelskich staniemy się olbrzymami, na których Europa z podziwem będzie spoglądać. A więc nie do przybytków sztuki skierujemy naprzód nasze kroki, lecz tam, gdzie wre i kipi nasze życie i siła: do dzielnic handlu i przemysłu. Zaczniemy od mostu broklińskiego.*

Kolej powietrzna przeniosła nas niebawem na miejsce. Olbrzymi most, największy na świecie. Z początku nie chciałem wierzyć, iżby był rzeczywiście największym, gdyż w Ameryce i w opinii jej mieszkańców wszystko amerykańskie jest *first class**) i przytem największem na świecie. Stanąwszy na moście, przestałem być niewiernym Tomaszem. Kolosalna budowa, zbudowana kosztem kilkudziesięciu podobno milionów dolarów, unosi się tak wysoko ponad wodą, że parowce o najwyższych masztach mogą pod nią wygodnie przejeżdżać. Most składa się z dwóch pięter, a podzielony jest na kilka części. Biegnie przezeń podwójny tor kolei żelaznej, tor kolei elektrycznej i tor kolei na pasach. Ostatnia, jako niewidziana dotąd, zajęła szczególnie moją uwagę. Motor elektryczny porusza linę, umieszczoną pod ziemią, a równolegle ponad liną biegnie wązki otwór. Woźnica chwyta szczypcami linę i jedzie razem z nią naprzód. Chcąc wstrzymać odpina szczypce, a wóz staje w jednej chwili. Niedawno wprowadzony ten wynalazek jest dziełem naszego rodaka z Buffalo, którego nazwiska niestety zapomniałem. Prócz tego istnieją oddzielne miejsca dla pieszych, osobne dla kolarzy, osobne dla zwykłych wozów, zaprzężonych końmi, a wreszcie osobne dla

*) Najlepsze, pierwszej klasy.

samochodów, które również po raz pierwszy ujrzałem w Ameryce. Jest to całkiem wygodna doróżka, w którą wsiada jakiś gentelmen, a woźnica, poruszając doróżkę na sposób koła czyli roweru, wiezie go spokojnie do wskazanej mety.

Lecz czas spojrzeć dokoła. W dwie strony płynie woda, zasiana nieomal mnóstwem statków, steamerów, czółen i łodzi wszelkiego rodzaju. Wzdłuż brzegów ciągną się w równej linii niedojrzane do końca magazyny. Ogromne bogactwo ziemi i przemysłu amerykańskiego wyczekuje tam statków, które te skarby mają porozwozić w różne strony świata, a przede-wszystkiem do Europy. Na prawo Brooklyn. Ksiądz wskazuje mi palcem na dwie wieżyczki. To polskie kościoły: św. Stanisława i św. Kazimierza. Na lewo New-York. Postrzępiony cały wskutek nierównych budowli, robi w pierwszej chwili wrażenie potwornej ruiny, wśród której sterczą niepoobalane jeszcze wieże i baszty. Nie zwaliska to jednak — lecz życie, ruch i gonitwa, ślepa, amerykańska w pogoni za dolarem. Ksiądz podaje mi lornetkę i każe liczyć piętra owych domostw, przypominających wieże i baszty. Naliczyłem w jednym dwadzieścia, w innym dwadzieścia i siedem. — »Ależ to niepodobieństwo,« mówię, »któż może mieszkać na tych wysokościach?« »Nikt też tam nie mieszka,« odpowiada spokojnie jego-mość, »są to domy przemysłowe, przeznaczone na urzędy, czyli jak tam mówią ofisy. Dźwigasz się pan windą w górę, na które chcesz piętro i tą samą drogą powracasz, w niczem nóg swoich nie trując. Życie wre tam tylko w porze urzędowej, później wydłubia się i dom ten i cała ta dzielnica przemysłowa. Spracowany Yankes jedzie kolejną na kraniec miasta, gdzie go czeka miła ustron, kochana żona i dorasta-

jące dziatki. Tylko gromada rozbitków-kawalerów wyjeżdża na sam szczyt domu, na t. zw. »roof garden«*) i spogląda z wyżyny na potężne miasto, płonące w świetle elektrycznem lub przysłuchuje się dźwiękom muzyki i śpiewom szansonetek, które pozostają jedyną rozrywką dla niepoprawnych młodzieńców. Żonkosie rzadko tu zaglądają, częściej chyba wdowcy lub niestety starcy. Kobiet oczywiście nie brak, gdyż w świecie tym wyemancypowanym wszystko im wolno, a więc wolno także patrzeć się na słabostki męskie i własne.

Wracamy do miasta. Ruch nie do opisania. Ogromna, przestronna ulica Broadway żyje całą siłą swych pulsów, całą gorączką pożądań ludzkich. Ludzie biegną jak opętani, gwar i turkot ogłusza; opodal przed jakimś gmachem wielkie zbiegowisko, a wszyscy spoglądają z ciekawością w górę i wydają od czasu do czasu hałaśliwe okrzyki. Podchodzimy bliżej i przyłączamy się do zagapionej gromady. Przed pięciopiętrowym domem ustawione olbrzymie rusztowania, na domie nalepione wielkie tablice, na których kilku ludzi ciągle coś pisze, maże i znowu pisze. Ach! To Redakcja »New-York Herald'u«**), a napisy to telegramy z pola bitew. Drut przynosi wiadomości z dalekiej Kuby, wprost z pola bitwy; o obrotach walki dowiaduje się prawie równocześnie mieszkaniec New-Yorku. Pocóż ma czekać na gazetę, która w tych dniach wychodzi na 40 kartach, z mnóstwem wido-ków, kiedy los bitwy obchodzi go w tej chwili. Wojna z Hiszpanią to interes wszystkich Nowoyorczyków, ona może zmienić rząd, może wpłynąć na giełdę. Wiadomości muszą być jak najprędsze.

*) Ogród wiszący (na dachu).

**) Największy dziennik amerykański, mający kilkaset tysięcy czytelników i przedstawiający olbrzymie przedsiębiorstwo pieniężne.

Z wycieczki do Ameryki.



Jestem fizycznie znużony. Nagłość nieznanych mi dotąd wrażeń, w odmiennym zupełnie świecie, a wreszcie głód kazały myśleć o odpoczynku. Przenieść się raptownie z Oceanu do Babilonu i nie czuć znużenia — jest chyba niepodobieństwem. Wstępujemy do eleganckiej restauracyi i każemy sobie podać *«lunch»* (śniadanie). Wyśmienita *«brandy»* (wódeczka) podnieca gardło i podniebienie, połykamy olbrzymie porcy mięsiwa, zapijając je wcale smacznem winem kalifornijskiem, zaopatrujemy się w przewyborne, oryginalne Hawanna i spieszymy do parku miejskiego. U wejścia wita nas olbrzymi pomnik odkrywcy tych ziem, Kolumba, robota jakiegoś Włocha, dzieło piękne, lecz nie arcydzieło. Nie mieszkając więc długo, zapuszczamy się w przepyszne aleje parkowe.

Posagi wielkich Anglików i Amerykanów, wykute na zamówienie, zdobią niektóre części; dzieci wożą się na dorózkach, zaprzężonych kozłami; chłopcy i starsi grają z całą zapamiętałością w piłkę, ulubiony i do pewnego stopnia narodowy sport Amerykanów. Ksiądz opowiada mi, że nie może sobie wyobrazić Amerykanina, nie umiejącego grać w piłkę, oczywiście po mistrzowsku. Całe miasta występują z sobą w zawody, a choć nagrodą wygranej nie jest wieniec olimpijski, lecz sowita ilość pieniędzy, jednakże zwycięzcy wymieniani są po dziennikach i rozśławiani nie mniej zapewne, jak niegdyś zwycięzcy olimpijscy.

Suniemy dalej przepysznyimi alejami, zakrapiając się w kioskach przeróżnym napojem, aby odwilżyć zasuszone gardło. Niesłychane mnóstwo przygodnych spotkań i interwiewów, niecytowanych wprawdzie po pismach, gdyż do tego nie dawała nam prawa nasza maluczkość, niemniej jednak ciekawych. Na końcu parku piękny zwierzyniec. Zwierzyna i ptactwo,

pozбирane ze wszystkich części świata, mile nas zaciekauiło; nie zasługuje jednakże, aby opisem trudzić czytelników. W zwierzyńcu spotkaliśmy ku ogromnej naszej ucieście p. M., poznanego na okręcie. Wyszedłszy z parowca, nie mógł nas odszukać, — więc postanowił oczekiwać nas przez cały dzień w zwierzyńcu, będąc pewnym, że znużeni wstąpimy do parku i potkniemy się o zwierzyniec. Pocziwy rodak naczekał się chyba niemało i to w dzień po odbytej podróży morskiej, a wszystko to stało się dlatego, że w pośpiechu zapomnieliśmy zapisać sobie adres jego mieszkania. Zaprosił nas na wieczerzę do jednego z rodaków p. Sz. Skorzystaliśmy z całą gotowością z miłej niespodzianki i za chwilę siedzieliśmy za suto zastawionym stołem pięknej i nad wyraz uprzejmej gospodyni domu. Poczęła się libacya i oczywiście ożywiona pogadanka. Dowiadaliśmy się o stosunki naszej kolonii polskiej. Jest ona tu bardzo liczna i wynosi do 60.000 głów. Niestety nigdzie w Ameryce nie jest tak słabo zorganizowaną jak tutaj. A wielka szkoda, bo wiele tutaj przebywa inteligencyi i Nowy York mógłby się stać łącznikiem między całą Polonią amerykańską a nami. Nie jest tak — Niestety — a przybywających wychodźców naszych nie wita wspa- niały »Dom polski«, lecz skromna kamieniczka sióstr Felicyanek. Być może, że przyczyną tego jest ten wzgląd, iż Nowy York mimo wszystko najwięcej przypomina Europę w jej najgorszych przymiotach i nie umie wiązać ludzi w jedno serce i w jedno ogniwo. Nie bez przyczyny jest i to zapewne, że prąd wychodźczy wyrzuca tu poza inteligencyą najuboższe gromady robotnicze, którym walka o chleb nie pozostawia czasu na zaspokajanie potrzeb duchowych. Słuchałem z ogromną ciekawością tych opo-

wiadań, tak bardzo obchodzących mnie jako Polaka ; nic też dziwnego, że wobec prawdziwie staropolskiej przy tem wszystkiem gościnności gospodyni pora naszej wizyty przewlekła się do późna.

Nazajutrz zwiedziliśmy ogromny kościół św. Patryka, największy w Nowym Yorku, zbudowany w stylu gotyckim. Piękny i nadzwyczaj bogaty kościół, lecz mimo wszystko nie pozostawia w umyśle tego wrażenia, jakie czynią nasze europejskie świątynie. Widać, że to świątynia bogaczów, lecz nie odczujesz w niej tego wiekowego tchnienia pobożności i serca, podniesionego ku Bogu, które wywierają kościoły, fundowane pobożnem sercem naszych praojców. Aby nie tracić czasu, puściliśmy się następnie wygodnym ekwipażem, aby oglądnąć najpiękniejsze dzielnice kilkumilowego miasta. Trzeba przyznać, że Amerykanie umieją mieszkać, a chociaż ich pałacom brak może przeszłości historycznej i oddalenia wiekowego, które nawet drobiazgi czynią drogimi, jednakże wyznać muszę, że dzielnice milionerów amerykańskich przyczyniłyby się do upiększenia chociażby Paryża.

Czas spieszyć dalej na Zachód, aby jak najwięcej widzieć i jak najprędzej stanąć u celu. Kupujemy więc po drodze bilety do Milwauke, miasta położonego na kresach wschodnich dzielnic Stanów Zjednoczonych i zajeżdżamy na jeden z przepysznych dworców. Pociąg już czeka. Do widzenia New-Yorku! Do widzenia! »*Good bye!*«

Przepyszny wagon gościnnie nas przyjmuje. Ze zdziwieniem dowiaduję się, że w Ameryce istnieje tylko jedna klasa i to tak wygodna, że może iść w zawody z naszą pierwszą klasą. Inny świat! Tu ludzie równość w życie wprowadzają, a nie dysputują o niej pod opieką bagnetów jak u nas w Europie.

Istnieją wprawdzie osobne jeszcze wozy sypialne i bawialne za osobną dopłatą, lecz jeżdżą niemi stare chyba dewotki lub pary zakochane. W naszym wozie na nic uskarżać się nie można. Wysoki, przestronny, siedzenia pięknie wyścielone, wodociąg dostarcza zimnej wody, miednica i zwierciadło pozwalają poprawić braki garderoby. Usłużny Murzyn czeka na twoje skinienie i dostarczy ci, czegokolwiek zechcesz. Rozmieszczasz się wygodnie, bez przeszkody, prawdziwie po ludzku, a grzeczny konduktor przypomni ci, choćbyś zasnął snem błogosławionego, gdzie masz wysiadać. Lecz oto rozgadałem się, a pociąg nasz mknie jak błyskawica. Jak błyskawica — powtarzam — gdyż dla Europejczyka jazda taka wydawać się może w pierwszej chwili karkołomną. Nie jest nią jednakże, bo statystyka dowodzi, że więcej nieszczęśliwych wypadków zdarza się w Europie. Wzdłuż toru ciągną się bez końca jakieś fabryki i magazyny. Jestem tak odurzony tem wszystkim, że zaczynam przekomarzać się z księżulką i zaczepiwszy go o toczącą się wojnę, w której oczywiście stoję po stronie słabego Hiszpana, krytykuję ni stąd ni zowąd w zjadliwy sposób całą Amerykę, a nawet kolej żelazną, która chyżym unosi nas biegiem, starając się go przekonać, że nasza przecież wygodniejsza i że wszystko u nas doskonalsze. I bylibyśmy bezwątpienia w niemały zatarg popadli, gdyby nagle nie odsłoniła się przed okiem precudna panorama, która zamknęła mi usta, każąc podziwiać precudne piękno

Tor kolejowy przewijał się wzdłuż majestatycznie wspaniałej Hudson River*). Po obu stronach wznosiły się urocze góry. Rzeka wciskała się miejscami pomiędzy jary przepaściste, a w miejscach tych zręczny

*) Rzeka Hudson.

Amerykanin nie obwodził toru dookoła, lecz rzucał śmiało wąską groblę przez rzekę, a pociąg nasz mknął przez nią rozhukany, niewstrzymany. Czy grobla nie usunie się, czy pociąg nie znajdzie się kiedyś w szmaragdowej toni Hudsonu? Pytania takie nie nasuwają się bystremu dowcipowi amerykańskiego inżyniera i trwożą tylko płochliwego podróżnika, gdy z bojaźliwą ciekawością spogląda na stronę. Lecz pasmo gór zbiega nagle ku obu brzegom rzeki, a przed osłupiałym wzrokiem stają dwie ściany kamienne, strome i urwiste. Dzikie, niebotyczne dwie ściany, pozbawione wszelkiej roślinności, napełniają cię grozą, tem bardziej, że środkiem płynie zwężonym korytem bezdenne, jak ci się wydaje, Hudson. I pytasz sam siebie, gdzie pędzi rozhukany pociąg, wszak to zguba nieuchronna, — gdy oto nagle zewsząd osłaniają cię nieprzebite ciemności, a ty powoli zaczynasz się domyślać, że jedziesz tunelem. Lecz i czas do powolnego namysłu nie długi. Świat rozwidnia się na nowo, góry cofają się, Hudson rozszerza koryto i roztacza przed twym okiem śliczne, skaliste na stokach wysepki, ustrojone całym przepychem cudownej zieloności. Rozkoszne wille na brzegach i strojne małe parowczyki budzą w tobie uczucie zazdrości, że nie jesteś ich właścicielem i mieszkańcem tej uroczej krainy.

Za chwilę znowu zmienia się krajobraz i napełnia cię naprzemian grozą i podziwem. A pociąg mknie i mknie bez spoczynku. Z pewnem zdziwieniem spoglądasz na zegarek, aby się przekonać, że to już kilka godzin upłynęło. — Cudowne góry, prześliczny krajobraz! Podobnie przedstawiała go sobie niegdyś wyobraźnia dziecięcia, gdy szukała tła dla opisywanych przygód bohaterskiego plemienia Indyan. Lecz

o ile rzeczywistość przewyższa nieraz wyobrażnię, przekonałem się wówczas naocznie i osądziłem, że najpolotniejszy umysł nie jest zdolen zupełnie dokładnie przedstawić sobie czar i piękno, w które sam Stwórca przyoblekł przyrodę. Kultura przeszła tedy bez śladu i udogodniła tylko przystęp do czarownej krainy. Jedno tylko barbarzyństwo popeliła i to bardzo ciężkie, gdyż wypędziła stąd pierwotnych mieszkańców i przyrodzonych tej ziemi dziedziców. Lecz widno taki już jest los każdej cywilizacyi, iż rozszerza się po trupach i krzywdach. Czy w zamian za to przynosi szczęście pożądane — nie moja rzecz na tem miejscu rozstrzygać.

Zachodzące słońce rozśloniło jeszcze raz całą piękność i urok tej ziemi. Ozłociło szczyty gór, rzuciło igrające blaski na gładką jak szkło powierzchnię Hudsonu i okraśliło niebo dziewiczym rumieńcem. Pociąg mknął, a słońce przeskakiwało z szczytów na szczyty, wreszcie poczęło się obniżać, coraz większe, coraz czerwieńsze, zlało się jeszcze w jedną plamę z najdalszym wierzchołkiem na widnokręgu, aż nakoniec zapadło. Posiniały niebiosa, zciemniała zieloność, poczerniała rzeka. Ciepła, gwiazdzista noc zstąpiła na ziemię. Zadumałem się głęboko i rozmyślałem nad pięknem i nad szczęściem, któremi Stwórca dzieła swoje nappełnił. Niestety człowiek psuje dzieło boże, kazi przyrodę, siebie i bliźnich. Dlaczegoż nie cieszyć się szczęściem przyrodzonym? Dokąd wiodą walki i nienawiści? Dokąd wiedzie gonitwa za uludą, na której upływa całe nieraz życie? Ha! Może to przeznaczenie ludzkości za życia, po którym nastąpi lepsza kiedyś dola za grobem?...

Towarzysz wyrwał mię z zadumy. W wagonie zrobiło się gwaro na nowo, rozmowa stała się

powszechną. Wygodni Amerykanie zaczęli jednak zwolna układać się do snu. Bez względu na obecne kobiety zdejmowali surduty i obuwie i rozkładali się na wygodnych siedzeniach. Z początku raziła mię ta wygórowana swoboda, lecz pomny na angielską zasadę, która każe podróżnemu stosować się do krajowych zwyczajów, poszedłem za danym przykładem i przekonałem się, że dobrze jest niekiedy innych naśladować. Był już poranek, gdy nagły hałas zerwał nas wszystkich na równe nogi. Pociąg zatrzymał się na wielkiej stacyi Buffalo.

I tu mieszka mnóstwo Polaków, bo podobno aż 60.000. Ponieważ pociąg stał tutaj dość długo, więc wzięliśmy dorózkę i objechaliśmy pewną część polskiej dzielnicy. Pięknie zbudowane, a wśród jednostajnych domów strzelają wieżycy kościelne. Pewna część naszych rodaków utworzyła kościół niezależny i obrała sobie własnego biskupa. Lecz trzeba było wracać na kolej, aby dziś jeszcze i to niezadługo wysiąść w mieście Niagara. Tu mieliśmy się zatrzymać przez cały dzień, aby oglądnąć sławne na cały świat wodospady.

Nie był w Rzymie, kto nie widział papieża. Z tą samą słusnością możnaby powiedzieć: nie był w Ameryce, kto nie widział Niagary. Lecz jakże mało przez jeden dzień tylko oglądać ten cud przyrody. Cóż było począć? Musiałem należeć do tych szczęśliwych nieszczęśliwców. Skoro tylko wysiadasz z pociągu, oczekuje cię mnóstwo jednokonek, aby cię zawieść do hotelu na posilek, a ztamtąd przez piękny park do wodospadów. Dyskretny woźnica wstrzymuje wózek przed gęstwiną i wskazuje ci ścieżynę, która cię poprowadzi do celu. Spieszysz przez coraz rzadsze zarośla i nagle stajesz zdumiony. Huk, który słyszałeś

oddawna, nie daje ci wyobrażenia o tem, co oko spotyka. Opodal wali się w przepaść ogromna rzeka. Trzeba dłuższego czasu, aby ochłonąć z pierwszego wrażenia. Ogromna rzeka spada w przepaść z ogromnej skały, której wysokość do poziomu wody na dole wynosi 159 stóp. Z hukiem i trzaskiem rozbija się o głazy, leżące na dole, w mirjady cząstek śnieżno-białych, które rozlatują się dokoła i wznoszą się jak najdelikatniejszy puch wysoko ponad wodospad. Dostrzegasz wszystkie barwy przejściowe, któremi zieleń wody przechodzi w śnieżną białosć i kłębiąc się z tytaniczną siłą na dole, wyrwa się z uścisku odmetów i pędzi dalej, unosząc srebrną pianę na rozhukanej powierzchni. Słońce rzuca promienie w srebrny puch wody, ulatujący z nad przepaści wodospadu i załamując się w jego atomowych kształtach, tworzy przepyszną, szeroką tęczę. Podziwiasz siłę, która niestrudzona wywołuje ciągle nowe cuda dla oka ludzkiego i zdaje ci się, że mógłbyś tak stać całemi godzinami i patrzeć, a nigdy oka nie zdołałbyś nasycić. Przeskakujesz ze skały na skałę, nie zważając na grożące ci niebezpieczeństwo, aby stanąć jak najbliżej przy tym strasznym spadku wód, który chwilami oszałamia cię swą grozą i pięknosćią i wydaje się, jakoby cię odurzonego chciał pociągnąć za sobą i rozbić o skały i znów odrzucić ulotnym falom. Patrzysz osłupiały i korzysz się przed straszną potęgą żywiołu i Tego, który tedy wytknął mu drogę.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Wracamy powoli, stąpając ostrożnie i przeskakując ze skały na skałę. Woźnica zaciął rumaka i wkrótce znaleźliśmy się na Suspension Bridge*), skąd nowy, a odmienny widok rozślaniał się na wspaniałe wodospady. Nie wiesz, na

*) Most wiszący.

co masz najpierw patrzeć. Przed nami na lewo wodospad, cud przyrody, pod nami most wiszący, arcydzieło sztuki inżynierskiej. Długi most wiszący, cały z żelaza, zdaje się uginać pod nami, gdyż nie widzisz żadnej podpory. Truchlejesz na samą myśl, że może się zapaść, a ty runiesz w przepaść, którejłożyskiem biegnie spieniona rzeka św. Wawrzyńca. Późna obawa, bo most już za tobą, a doróżka stoi przed pięknym hotelem Lafayettea. Siła wodospadu jest tak wielką, że aż tutaj dolatuje dżdżysty pył jego wody i utrzymuje brzeg w ciągłej wilgoci, choć oddalenie wynosi kilkaset kroków. Winda wyciąga nas na szczyt i pozwala nam oglądać z wyniosłej galeryi nowe, cudowne widoki. W salonach hotelu zebrano piękne muzeum. Widzisz mnóstwo fotografii Niagary, zdjęmowanych w różnych porach dnia i roku, bogactwo okolicznego świata roślinnego i zwierzęcego, a wreszcie ogromny zbiór wyrobów indyjskich z napisami: pamiątka z Niagary. Wyroby te stoją na sprzedaż i o ile wnosić można z liczby przyjezdnych niemały przynoszą dochód. Wpisaliśmy nazwiska w księgę pamiątkową, a przy imieniu miasta dodaliśmy: z Europy, z Polski. Na wolnej ziemi wolno przecież ojczyznę prawdziwem nazywać imieniem.

Na dole kazano nam zdjąć zwierzchnie ubrania i obuwie. Włożono na nas gumowe odzienie, a na nogi grube, skórzane trzewiki. Służący zaprowadził nas do budyneczku nad brzegiem. Stanęliśmy na podłodze, która niebawem obsunęła się na dół. Na dole oczekiwał już człowiek, który podobnie jak my przystrojony, puścił się przodem, a nam kazał postępować za sobą. Długą, ciemną jaskinią spieszyliśmy popod wodospad. Powoli skończyły się ciemności, a dalsza droga prowadziła przez kładkę, rzuconą na

skały. Księżulek był srodze załęczniony i na widok baryery, która zamykała kładkę, wykrzyknął radośnie : chwała Bogu, że to już koniec. Zacząłem księżulka naciągać i radziłem trzymać się kładki jak najmocniej, bo jeśli spadnie, nie mały mielibyśmy kłopot, aby go wydobyć z czułych uścisków Niagary. Jednak przyznać się muszę, że i mnie samemu nie bardzo było swojsko. Nie staliśmy wprawdzie pod samym wodospadem, lecz dosyć chyba stanąć u krawędzi. Daremnie siliłbym się, aby przedstawić czytelnikowi nasze położenie. Huk spadającej wody był tak ogłuszający, że nie mogliśmy słyszeć własnych słów. Tuż obok nas przelatywały nieprzerwaną strugą upusty niebieskie. Staliśmy w zagłębieniu ogromnej skały. W górę niepodobna było patrzeć, gdyż rozpryskująca się woda zalewała oczy. Na głazach, obok leżących, które zerwała niedawno może fala wodospadu, widziałeś rozbite ryby, między nimi nawpół jeszcze żywe węgorzyki. Chwilami przychodziła myśl, że każdego śmiałka, który odważa się podglądać te moce natury, powinna spotkać jakaś nagła kara. A nic łatwiejszego ! Czyż właśnie tej chwili nie mógł się oderwać kawał skały i spaść na nasze głowy, aby nas zmiażdżyć ? Rozprysnięty mózg, owe tajemnicze siedlisko myśli człowieczej, rozbiłby się pomieszany z wodą w śnieżny puch i uniesiony z nim razem do góry igrałby z promieniami słońca, a patrzący z daleka podziwiałby piękną tęczę, nie domyślając się nieszczęścia trzech istot ludzkich. A jednak jest jakaś sprzeczność w człowieku. Ta sama myśl, która tworzyła obraz grożącego niebezpieczeństwa, ta sama myśl, jakby unicestwiona niezwykle widokiem, otrętwiała członki i kazała im stać, oczom patrzeć, uszom słuchać, a wszystkim nerwom odczuwać potężne wrażenia...

Niagara ma jakiś urok, który nie dopuszcza przesytu. Zaledwie stanęliśmy na górze i przywdzialiśmy odzież, pokusa porywała nas dalej. Puściliśmy się drogę, aby stanąć za chwilę w nowym budynku, skąd nowe czekały dziwy, nowe niespodzianki. Wsiadliśmy na malutki wózek, aby po szynach spuścić się na dół. W Europie niema nigdzie, o ile wiem, tego rodzaju zabawki. Wzdłuż wysokości brzegu, wynoszącej tutaj około czterdziestu metrów, biegnie równia pochyła, ułożona z silnych i na oparciach dobrze osadzonych desek. Środkiem prowadzą podwójne szyny. Ciekawi wsiadają na wózek, który odpowiednio urządzona maszynerya puszcza w dół z całą szybkością. Nie miałem ochoty próbować tak karkołomnej jazdy, lecz widząc szczęśliwie przed nami przebywających drogę, trudno było stchórzyć. Poprosiłem więc żartem mniej jeszcze obojętnego księżulka, aby nas Bogu polecił; wsiadliśmy na wózek — dreszcz łaskotliwy obiegł całe ciało — i już byliśmy na dole, na zgrabniutkim pomoście. Na gromadkę podróżnych czekał równie zgrabniutki i piękny parowczyk, nie wiem dlaczego wcale niepięknie: »*Maid of the mist*«*) przewany. I tutaj także ubrano nas w gumowe ubrania, kapitan dał znak, a statek popłynął z nami ku wodospadowi. Płynął powoli, a my napawaliśmy się nowemi wrażeniami. Dopłynęliśmy do miejsca, którego niepodobna już było przekroczyć. Na statku czuliśmy się o wiele swobodniejszymi, niż w zagłębieniach skalnych, a przyczyną tego była prawdopodobnie ta okoliczność, że w towarzystwie naszym znajdowało się kilka figlarnych i trzpiotliwych Amerykanek, których zarumienione buzie i błyszczące oczka nie źle wyglądały z pod wysokiego gumowego kapiszona. Zdaje się, że

*) Dziewka od gnoju.

skromna oprawa dodaje niekiedy powabu wdziękowi przyrodzonym. Czy tak jest zresztą, czy inaczej, byłem zachwycony buzią i odwagą, powtarzam odwagą, gdyż nie wiem, czy nasze panienki ośmieliłyby się tak zbliżyć podglądać tajemnice wodospadów. Wiadomo zaś, że odwaga przydaje wdzięku. Wdźwięk znowu zmusza mężczyzn do odwagi, więc i ja odważyłem się na nowe próby w angielszczyźnie. Buzie były zdziwione, że gentelman z czarnym wąsikiem nie zupełnie poprawnie mówi po angielsku, lecz krótkie objaśnienie, że ten gentelman pochodzi »*from Europe from Poland*«*), rozwiało wyraz zdziwienia, a zastąpiło go pobłażliwym uśmiechem, który jak wiadomo podwaja przyrodzoną piękność niewieścią. Sprzeczność, jaką odczuwałeś między majestatyczną grozą Niagary, a uprzejmym wdziękiem towarzystwa, zmusiłaby i ciebie, kochany czytelniku, iżbyś i ty długo zabawiał słuchaczy opowiadaniem o pięknościach Niagary. Więc proszę, nie gniewaj się, że i ja zabawiam cię opowieścią z Niagary, zamiast trzymać myśl twoją w naprężeniu niezwykłych wrażeń.

Piękne są wodospady Niagary i tylko ci, którzy je widzieli, mogą mieć o nich wyobrażenie. Najbieglejsze pióro nie opisze tego czaru, którym oddziałują na umysł. Przepyszna okolica dodaje naturalnym ich wdziękowi nowych powabów. Myślałbyś, że bóstwo pozostawiło tutaj ludziom część raju, o którym mówią podania biblijne. A jednak nie wiem, dlaczego oglądanie Niagary nasunęło mi i inne jeszcze, nie rajskie wcale myśli. Oto wydało mi się, że Niagara — to wspaniały symbol całej Ameryki. Gorączka przemysłowa, niezwalczona, powiedziałbym żywiołowa, gorączka w pościgu za dolarem, która

*) Z Europy, z Polski.

ogarnęła całą Amerykę i wysilając jej mózg dąży do jakiegoś nieokreślonego celu, gorączka ta, która tworzy cuda wysiłków myśli ludzkiej, czyż nie może być porównaną z cudem wysiłków żywiołów przyrody? Tak! Niagara to wspaniały symbol Ameryki, tej młodej, dyszącej pełnią życia Rzeczypospolitej. A jednak obsunąć się muszą wodospady Niagary, bo taki jest naturalny koniec wodospadu, zginąć musi szczęście Amerykanów, jeśli rwąc się z całym pędem myśli ludzkiej, nie postawią sobie jakiej grobli, która zwolni pościg za dolarem, gdyż inaczej dolar stanie się przekleństwem Ameryki. Lecz do tego jeszcze daleko. Ameryka jest młoda, wyszumi się jak bujny młodzieniec — i wyrośnie na dojrzałego i statecznego męża.

Jadąc na Chicago jeszcze raz oglądałem Niagarę. Tam bowiem zatrzymuje się każdy pociąg, jadący na zachód. Wszyscy podróżni wysiedli z wagonów. Wznosiły się co chwila okrzyki podziwu, amatorzy zdejmowali widoki. Miejsce, w którym pociąg staje, jest może najlepszem do oglądania z daleka. Na długiej przestrzeni widać wstęgę wód św. Wawrzyńca, widać jak potem wstęga dzieli się na dwa pasma i jak wszystkie te wody spadają w przepaść. Widać odcienia między dwoma spadami głównymi, a w tym spadzie, którym biegnie koryto rzeki, rozróżniłbyś kilka odmian wedle kształtu biegnącej wszcz ściany. Wedle tych odmian różne noszą nazwy wodospady Niagary. Stąd także rysuje się wybornie zielona wysepka, do której prowadzi most przez boczne pasmo św. Wawrzyńca. Zdumiewasz się, że ty sam byłeś na tej wysepce, a nawet puściłeś się przez porzucone tu i owdzie skały, aby oglądać główny spadek. Z daleka wydaje się to niepodobieństwem. Widzisz rzekę, mknącą w dal głębokim jarem. Bia-

łość rozbijanych wód olśniewa oczy, wspaniałość jest taka jakaś wielka, że gniewają cię okrzyki: wspaniałe, cudowne, majestatyczne, niezrównane i t. d., które wydają podróżni. Po co krzyczeć, kiedy każdy to widzi. Po co mówić, kiedy lepiej patrzeć! — Konduktor nie mógł sobie poradzić, aby wreszcie podróżnych pomieścić w wagonach. Jeszcze chwilę — woła zapatrzona dama; stary jakiś farmer pozwala się trącać i popychać, nie myśląc ani na chwilę oderwać oczu od widoku. Nareszcie ruszył pociąg, a odjeżdżający wspinali się do okien, aby ostatniem spojrzeniem pożegnać jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie.

Żegnaj Niagaro! Jeśli kości moje
Anioł zniszczenia pokruszy w atomy,
Pragnę, by proch ich, owinięty w zwoje
Wichrów potężnych, opadł w twe załomy.

Nie! wszystkich prochów oddać ci nie mogę,
Bo ziemi one należą ojczystej;
Lecz iż za życia zabiegłem w twą drogę,
Szukając wytchnień dla myśli ciernistej, —

Iż żywy własne porzuciłem włości
I obcych ludów zwiedzałem dziedziny,
Pośmiertnych chcę tu doświadczać srogości,
Tu częstką własną wypłacać chcę winy.

Żegnaj Niagaro! Jeśli Bóg usłyszysz,
Częstka mych prochów spadnie na twą falę
Runie z nią w przepaść, co przed tobą dyszy,
I na granitów rozbije się skale.

Potem uleci w górę rozprysnięta —
I blaski słońca wchłonie w swoje łono,
Tęcza z nią igrać będzie rozśmiechnięta,
I znów opadnie w falę rozwełnioną.

I tak bez końca, jak Syzyf odwieczny
Odplacać będzie za winy żywota,
Dopóki Anioł ponad szlak ją mleczny
Przez empirejskie nie powiedzie wrota. . . .

Późno w nocy dojeżdżaliśmy do nowej wielkiej stacyi Detroit. Przecierałem oczy, aby bodaj w mrokach spoglądać na miasto.

Pociąg stanął nad jeziorem. Nie widziałem mostu, więc patrzyłem niecierpliwie, co się stanie. Jakoż niebawem zaspokoilem ciekawość. Tuż przed nasz pociąg nadpłynął dysząc i sapiąc parowiec w kształcie długiego i niemal płaskiego promu, a gdy zacząłem odgadywać, po co przyjechał, pociąg nasz zajeżdżał już na statek. Dowcipni Amerykanie! Wody za szerokie i za głębokie, mostu nie podobna zbudować, więc parowiec musi pomódz pociągowi. Jest to rzecz całkiem prosta, lecz wtedy dopiero, gdy ją obaczysz. U nas w Europie oprowadzonoby prawdopodobnie tor kolejowy dokoła jeziora, lecz Amerykanin nie chce tracić czasu i pieniędzy, a przytem rad popisuje się osobliwością. Przejechaliśmy spokojnie na drugą stronę, spoglądając na uśpione miasto Detroit, a pociąg nasz wybiegł wygodnie na szczylnie do pokładu przylegające szyny i potoczył się dalej. Żałowałem, że nie mogłem zatrzymać się w Detroit, gdyż mieszka tu przeszło 40.000 Polaków, mają tu kilka parafii, seminaryum duchowne i gimnazyum polskie. Niestety — krótki czas, przeznaczony na wycieczkę, nie pozwalał na to, bo i droga jeszcze przedemną daleka i wiele innych rzeczy do oglądania i wreszcie dłuższa niż wszystko droga z powrotem.

Kilka godzin oddziela nas od Chicago. Szeroka równina rozciąga się dokoła. Gdzeniegdzie pokaże się szmat jeziora, obok niego jałowe pola, a na nich tu i owdzie wzgórza piaszkowe. Wątła roślinność próbuje zaszcześcić korzonki, lecz płonne to wysiłki, bo nic nie dojrzysz bujniejszego. Zaledwie jakieś smutne i karłowate sosenki. Nieco dalej zmienia się krajobraz, ziemia okrywa się bujną zielenią, a opodal rozciąga się ogromny las. Nie widać domostw, ani ludzi, a tylko trzody świń i bydła, pasące się na przydrożach i druty, które biegną wzdłuż boru, załamując się tu i owdzie i odchylając w głąb, mówią ci, że człowiek objął już to wszystko w posiadanie i oznaczył sobie granicę. Nie jest to jednak step ani puszcza. Stan Illinois, przez który jedziemy i następny Wisconsin są jeszcze wcale gęsto zaludnione. Dziki step rozpoczyna się dalej — hen za Mississipi. Oto dalej pokazują się zagrody farmerów, znacznemi rozdzielone odległościami. Farmerzy posiadają wielkie przestrzenie ziemi, lecz nadmiar produktów rolnych nie pozwala im czerpać tych dochodów z ziemi, jakiego by ona wydawała w naszych warunkach. A jednak skarb to wielki i kiedyś, gdy wyrosną nowe miasta, pomnoży się ludność, farmerzy zostaną bogaczami. Podrożeje ziemia, podrożeją płody rolne, dziatki będą wdzięczne rodzicom za dziedzictwo, które im przekazali. Lecz może wówczas nie będzie w Ameryce własności prywatnej. Gdyby i tak było, w każdym razie żyją dziś spokojni i szczęśliwi, mają szkoły i kościoły, korzystają z wszystkich najnowszych wynalazków, a skroni ich nie zanieczyszczają brudne wyziewy ognisk handlowych.

Okolice staje się powoli ludniejsza; wielkie jezioro dobiega do torów kolejowych i towarzyszy nam na

długiej przestrzeni; liczne parowce, krążące po jego powierzchni, zapowiadają bliskość stolicy Michiganu, sławnego na cały świat Porcopolis*). I tak jest w istocie. Z nadbrzeżnych równin wydobywa się drugie co do ludności miasto Ameryki, przeszło milionowe zbiegowisko ludzkie, Chicago. Oglądanie miasta nie należy teraz do naszego programu, mam go zwiedzić, lecz dopiero później osobno. Zatrzymujemy się tylko dla wypoczynku, od pociągu do pociągu. Jednakże, aby czasu zupełnie nie tracić, zwijamy się żwawo z befsztykiem i dwoma kuflami t. zw. piwa pilzneńskiego. Następnie wsiadamy do tramwaju, aby przejechać wzdłuż całego miasta i zaspokoić pierwszą ciekawość. Chicago ma podobno więcej charakteru amerykańskiego w życiu i obyczajach niż New-York, lecz trudno sądzić mi o tem z powierzchownego przeglądu. Dochodzę tylko do przekonania, że ma wygląd zupełnie amerykański, tego jednakże i New-Yorkowi odmówić nie można. Domy, ruch na ulicach, komunikacya, przypominają nawet zupełnie królową Atlantyku, różnic nie widać. W tramwaju zdarza się ciekawy przypadek. Jakiemuś gładko wygolonemu gentlemanowi wydaje się, że mija ulicę, do której dążył. Konduktor, nie widząc pasażerów, nie zatrzymał wozu. Oburzony gentleman zwraca się do konduktora, którego obowiązkiem pilnować ulic, lecz ów pozostaje zupełnie nieczułym na wszystkie miłe i niemiłe wyrażenia gentlemana. Dolał oliwy do ognia, bo gentleman, nie mogąc znieść anielskiej cierpliwości i głuchego milczenia konduktora, zakasał rękawy, objawiając przez to nagłące pragnienie boksovania**). Wówczas barczysty konduktor, nie mówiąc

*) Miasto świni.

**) Bójka na pięści, narodowy obyczaj amerykański.

w dalszym ciągu ani słoweczka, porwał gentlemana za ramiona i trzymał przez chwilę nieruchomego. Tramwaj nadjechał właśnie na róg następnej ulicy. Konduktor wypuścił z objąć gentlemana i rzucił krótkie: »Sir, 25-the avenue*).* »Excuse me**),« odpowiedział szybko gentleman i wyskoczył z wozu, nie mówiąc więcej ani słówka, gdyż zrozumiał, że to dopiero jego ulica. Wszystko to odbyło się w mgnieniu oka, a drobne to zdarzenie było dla mnie niesłychanie pouczającym i niesłychanie zabawnem.

Szybko minęły dwie godziny kolejną, które dzieliły nas od South Milwaukee. »Wszelki duch Pana Boga chwali,« zawołał wuj na mój widok, »a ty tu skąd?« »I ja chwale« odpowiedziałem, »a skąd? z Europy. Przecież wuj dostał depeszę z Nowego Yorku, donoszącą o przybyciu mojej wielkości do ziemi Yankesów.« »Myślałem, że to żart ks. Siwca i dlatego oczom wierzyć nie mogłem, ale chwała Bogu, że jesteś naprawdę.« Jeśli Szanowni czytelnicy pragnęliby poznać, jak wygląda rozmowa i przyjęcie po tylumilowej przejeździe przy spotkaniu się z bliską sercu osobą, radzę im wybrać się również do Ameryki, gdyż zdolności moje do opowiadania uważam za słabe, abym bodaj na chwilę powziął myśl odtworzenia przed nimi obrazu tych dzisiaj drogich już tylko wspomnieniom myśli pamiątek. Muszą się oczywiście postarać o krewnych na drugiej półkuli, a zapewniam, że czuć się będą dobrze, gdy wstąpią w ich progi. Kilka pierwszych godzin przebiegnie jak mgnienie oka i ani się spostrzegą, że doznawane szczęście spotyka ich nie w ojczyźnie wśród swoich, lecz na dalekiej obczyźnie. Wtedy także przekonają się, że nad wszystkie węzły, jakie mogą

*) Panie, ulica 25a.

**) Przepraszam (proszę wybaczyć).

łączyć człowieka na świecie, najsilniejsze i najdroższe są węzły rodzinne. Ustaje ciekawość, którą nastrecza obcy świat, zapomina się chwilowo o wszystkim i żyje się wyłącznie sercem i jakimś wielkim rozradowaniem duszy.

* * *

Już temu lat z górą czterdzieści, gdy pierwsi nasi osadnicy zbierali się nad brzegiem modrego Michiganu w miejscu, na którym dziś stoi ludne, bo około 300.000 ludzi liczące miasto, potężne ognisko handlowo-przemysłowe, ochrzczone nazwą Milwaukee. Miasto nowe, jak tyle innych w Ameryce, bo jeszcze w początkach tego wieku pierwotny tej ziemi mieszkaniec Indyanin oddawał za czerep *whisky* lub błyskotliwą fraszkę ogromne szmaty ziemi białemu łupieżcy angielskiemu, nie myśląc, że ta lekkomyślność wypędzi go stąd na zawsze i zamknie w głuchej puszczy, czujną bronią Yankesa strzeżonej. Dumny Indyanin nie dał się okiełznać, lecz z goryczą wspominać musi niedawną przeszłość i patrzeć na nowy porządek, z którym nie może się pogodzić. Nie może jednak nie chcieć, bo jeśli rzuci hasło oswobodzenia, ukarze go surowo nowy jego ojczyzny właściciel. Popali mu siedziby, ludność w pień wysiecze i na tem miejscu wystawi pomnik zwycięstwa. Nic mnie tak nie oburzało jak widok pomników, wystawionych na pamiątkę zniszczenia któregoś z plemion indyjskich. Widziałem jeden z takich w Niagarze miasteczku, niesmaczny w stylu, lecz jeszcze obrzydliwszy przez napis: *for your country**). Nie można wyobrazić sobie nic bezczelniejszego, jak ta obrona *country*, która wycina w pień pierwotnych mieszkańców.

*) Za swą ojczyznę.

Drugi taki pomnik widziałem w Milwaukee. Miasto dobiega do jeziora, a strudzone oko patrzy z rozkoszą na błękitną jak niebiosą półkulę Michiganu. Dochodzisz do brzegu i patrzysz z ciekawością na monument, wystawiony pierwszemu *mayor*'owi*) Milwaukee. Po bokach przedstawiono w płaskorzeźbach czyny owego naczelnika miasta. I oto całe piękne wrażenie psuje widok mayora, kupującego od jakiegoś kacyka indyjskiego całą przestrzeń miasta za kilka marnych świecidełek i whisky. Nie pojmuję, jak można uwiecznić zbrodnię. Prawda, że robi to w Europie Prusak i Moskal, lecz nie podobna żądać etyki od barbarzyńców; powinien ją jednakże pielęgnować wolny Amerykanin. Niegdyś ofiarował te ziemie, dzisiejsze dwa stany, przewyższające objętością państwo austriackie, prezydent Waszyngton naszemu Kościuszce. Szlachetny Polak nie przyjął zapłaty za ofiarę, nie przyjął dziedzictwa Indyan, — niezadługo rozszarpał je kramarz angielski, a potem niemiecki.

Można się sprzeczać o to, co byłoby lepszem dla Ameryki i dla tzw. nowożytnej kultury na półkuli zachodniej. Lecz jeśli niemy podziw ogarnia każdego Europejczyka na widok wszechorganizacji Stanów Zjednoczonych, nie podobna równocześnie otrząsnąć się z czarnych myśli na wspomnienie krwawych i męczeńskich dziejów indyjskich.

Wspomnienie to zresztą zbyteczne i niepożyteczne, dobre chyba dla marzycieli, lecz nie dla ludzi, wychowanych w wieku Darwina, w wieku katorgi Sybiru, pary i elektryki. Amerykanin nie zastanawia się, że ta ziemia była cudzą własnością. On ją zdobył, a jeśli walka okazała nadludzkie męstwo i cnoty przyrodzone po stronie indyjskiej, toć przecież i zdo-

*) Burmistrzowi.

bywca dzielnie musiał walczyć. Więcej może niż dzielność pomogła mu chytrłość, lecz dziś zapóźno o tem myśleć. Byli Indyanie, wysieczono ich, jak wilki i niedźwiedzie — i niema ich. Czyż to nie dosyć, że na przestrzeni tych stanów można co najwięcej raz na rok spotkać żebraka indyjskiego, lub wytresowanego dojeżdżacza w cyrku Buffalo Bill. Taki Indyanin nie szkodzi, a przedstawia się nieźle w towarzystwie razem z nim popisujących się Arabów, Kozaków, Czerkiesów, bokserów angielskich i torreadorów hiszpańskich. Zdarza się nawet, że gładkolica *girl* amerykańska wręczy piękny wieniec zwinnemu zapaśnikowi, a cyrk huczy wówczas od dzikich wrzasków rozweselonego tłumu.

Podkreślam na tem miejscu krwiożercze instynkty, właściwe rasie germańskiej. W zaraniu dziejów dzisiejszych narodów Europy liczne plemiona Płowian nadłabskich i nadodrzańskich padły pod nożem bułtnego Teutona. Tosamo uczyniło z Indyanami plemię anglosaskie. Inaczej postąpił Hiszpan. Jego biskupi sprzecali się wprawdzie, czy Indyanin ma duszę, lecz nie wycinając plemienia, złączyli się z niem w jedność. Lecz dumny hidalgo milczy i nie wspomina o zasługach dla cywilizacyi, a Europa zniesławia jego dzieje; natomiast dorobkiewicz germański przechwala się zbrodnią i nazywa ją aktem kultury. Europa udaje, że w to wierzy. Czyż inna etyka obowiązuje zbrodniarzy, a inna cnotliwych? Wierzę, że przyszłość zawyrokuje sprawiedliwie i zbrodnicze apostołstwo odsądzi od czci i zasługi.

Emigrant polski przyszedł do Milwaukee za Anglikiem i Niemcem i przyszedł jak tamci z próżnemi rękoma. Ta tylko była różnica, że nasz szukał pracy, a tamci rozboju. Poprzednicy dorobili się już grosza,

naturalnym rzeczy porządkiem przyjdzie kolej i na niego. I dzisiaj już wielu naszych zdobyło znaczny majątek i np. jeden z nich, posiadający dzisiaj około ćwierćmiliona złr., przyjechał przed dwudziestu laty do Milwaukee z centem jednym, jedynym w kieszeni, jak sam opowiadał i bez czapki na głowie, gdyż zgubił ją w drodze. Wychodźcy nasi osiadali gromadkami, co było koniecznem i bardzo rozsądnem, — budowali zaraz kościoły i szkoły i zakładali gazety. Dzisiaj liczy Milwaukee około 40.000 Polaków, posiada jedno pismo codzienne i dwa tygodniki, obejmuje o ile pamiętam, sześć parafii z pięknymi świątyniami, szkołami ludowemi i ma nadto polską szkołę handlową. Trzeba przyznać, że jest to na oko piękny dorobek naszego wychodźstwa, świadczący o wielkiej sile wewnętrznej przywiezionych ze sobą wspomnień i tradycji.

Milwaukee ma kilku tęgich ludzi, którzy około polskoamerykańskiej sprawy dzielnie się krzątają. Typy to bardzo sympatyczne, a wpływ swój zawdzięczają własnej zabiegliwości i samopomocy. Ileż miłych chwil spędziłem w waszem towarzystwie, dzielni rodacy. Ileż światła wyniosłem dla naszych nawet ściśle europejskich stosunków. Główny dobór tych ludzi zaciąga się przedewszystkiem z szeregów duchowieństwa. Ludzie świeccy, o ile nie zamerykanizowali się, występują jako działacze dopiero w ostatnich czasach. Prawdłowy rozwój tamtejszych stosunków wymaga, aby liczba ich rosła i aby wpływ ich stanął w równym rzędzie z wpływem duchowieństwa, a nawet go przewyższył. Jest to praca teraźniejszości i przyszłości, której wyniki i skutki trudno przewidzieć.

O Ameryce wiele już u nas pisano i podglądano ją z różnych stron Sienkiewicz wydobyl z przepysznego

tła wspaniałe obrazy kolorystyczne i oświecił je blaskiem dowcipu i poezyi, Siemiradzki przesunął się zwinnie po wierzchu, przytoczył mnóstwo nazwisk, lecz nie zapuścił sondy głęboko. Za krótko bawiłem w Ameryce, abym i ja mógł się pokusić o ściśle przedstawienie tamtejszych stosunków. Godzi się jednak przypomnieć kilka rzeczy, które się tam widziało, godzi się przypomnieć myśli niejednej pogawędki, którą się prowadziło. Pogawędki te przypadkowe i wskutek tego natchnione nieraz całą świeżością uczucia i myśli uczyły mnie więcej może niż widok oglądanych rzeczy. Było ich bardzo wiele i nie łatwo mi powiedzieć, która była bardziej interesującą, bardziej przyjemną. Czy była nią owa, wiedziona na imieninach zacnego ks. Gulskiego, gdy przy gościnnie zastawionych stołach siedziało mnóstwo księży z Milwaukee, a z przyjezdnych dziś już nieboszczyk ks. Barzyński, przełożony Zmartwychwstańców z Chicago i wielu innych. Prawda, że zamało było tam ludzi świeckich, bo tylko ja Europejczyk, lekarz milwaucki dr. Wagner i prof. Kuk. Nie mogę oddać jej pierwszeństwa, jeśli wspomnę odwiedzin arcybiskupa Katzera w parafii mojego wuja, lub miłe nad wyraz pogadanki w gościnnych domach ks. Szokalskiego i ks. Gruczy. Krzywdę wyrządziłbym pięknym Polkom amerykańskim, gdybym słodkie chwile, z nimi przepędzone, niżej cenił niż rozmowy, prowadzone z księżami i inną plcią brzydką. Wszystkie one zarówno miały jakiś urok ukochany, który wchłaniała dusza, a dzisiaj w miarę oddalenia tęskni za nim jak za najdroższymi wspomnieniami chwil ubiegłych. Dzięki Wam, rodacy za Oceanem, za tyle serdecznych objawów serca, którymi mię darzyliście; podziękowanie to niechaj będzie skromnym wyrazem wdzięczności za wszystko

dobrze, którego doznałem w różnych stronach i w różnych miastach od braci mojej w Ameryce! Niech Bóg wam zapłaci!

W południowej stronie miasta Milwaukee, na t. zw. South Side, strzela wysoko w górę ponad schludne domostwa naszych osadników wyniosła świątynia św. Józafata, dzieło ks. Gruczy. Niewykończona jeszcze w całości należeć będzie kiedyś do najwspanialszych kościołów miasta, a już dzisiaj przewyższa rozmiarami tamtejszą katedrę katolicką. Koszta budowy przeniosą milion złr. Podziwiać zaprawdę niezwykłą ofiarność pobożnych parafian polskich i niestrudzoną energię ich pasterza. Sam ks. Grucza jest doskonałym typem człowieka, który wzrósł o własnych siłach. Urodzony na Śląsku pruskim, z przekonania uczciwy Polak, był jeszcze w Ameryce zwyczajnym rzemieślnikiem. Trzeba dodać, że parafia, której jest pasterzem, przez niego także została skolonizowaną i zorganizowaną. Złośliwi zarzucają, że buduje dla siebie bazylikę. Przysnać muszę, że ambicya tego rodzaju nie jest bynajmniej gorsząca. Kwestya polskich biskupów dla Ameryki jest niesłychanie piekącą. Polacy stanowią 20% ogólnej liczby tamtejszych katolików i powinni mieć co najmniej pięciu biskupów. Nie mają ani jednego. Kongregacya krzewienia wiary, na której czele stoi Polak, kardynał Ledóchowski, papież całego świata katolickiego poza Europą, traktuje nas po macoszemu. Niezadowolenie, które wskutek tego ogarnia nasze duchowieństwo, doprowadza niejednokrotnie do odszczepieństwa. Wielu nie chce ulegać we wszystkim interesom katolików irlandzkich i niemieckich. Biskupi obcy przedstawiają tendencyjnie, że żywioł polski utraci niebawem mowę i poczucie narodowości, a więc zbytecznem byłoby stwarzać dla

niego osobną hierarchią. Wyrok to przykry i stanowczo przedwczesny. Położenie zaś nasze jest złe i powinno się natychmiast naprawić. Rzym pozbawia należytej wolności wolnych naszych obywateli polsko-amerykańskich. Omawiano tę sprawę u nas w pismach przed kilku laty. Rozprawy zamilkły, choć skutku nie odniosły. Należałoby koniecznie poruszyć ją na nowo. A więc czyż niesłusznie robiłby ks. Grucza, gdyby budował dla siebie, jak chcą złośliwi, bazylikę. Charakterem i pracą zasłużył choćby na najwyższe dostojenstwo. Niech tedy dzieło jego rośnie i widnieje wspaniale przed światem na nasz wspólny pożytek.

Do najpoważniejszych osobistości, obok ks. Gruczy, należy ks. kanonik Jacek Gulski, nestor kapłanów polskich w stanie Wisconsinu. Wygnany z ojczyzny za Kulturkampf puścił się na daleką tułaczkę, aby na obcej ziemi dla swoich pracować. Dzieje naszego osadnictwa w tych stronach mogłyby niemało powiedzieć o jego działalności. I dzisiaj także plebania ks. kanonika miłem jest ogniskiem, w którym cała inteligentna Polonia z ufnością się gromadzi. Z młodszych księży milwauckich występuje najwybitniej ks. Szokalski. Wychowany w szkole angielsko-amerykańskiej dopiero w seminaryum duchownem poznał się dokładnie z językiem ojczystym. Dzisiaj włada nim doskonale, a to znak najlepszy, że go także kocha. Również i jemu zarzucają niektórzy ambicję, lecz wszyscy muszą przyznać, że jest to jeden z tych młodych, który ma najszerze poglądy. Pamiętam: siedzieliśmy raz na ławeczce w ogrodzie, opodal kościoła św. Cyryla i Metodego, którego ks. Szokalski jest proboszczem. Z jakąż lubością wsłuchiwałem się w jego słowa, gdy mówił, że sprawa nasza w Ameryce nie jest bynajmniej straconą. Był to balsam na mój

żał, wywołany złowieszczemi przepowiedniami, że nie zdołamy utrzymać się dłużej nad jedno jeszcze pokolenie. Patrz pan, mówiono, co dzieje się z Niemcami. Osadnicy ich są dwakroć od nas liczniejsi i znacznie bogatsi, a przecież w drugim już pokoleniu tracą mowę i narodowość. Ks. Szokalski przeczył wszystkim wywodom tego rodzaju i twierdził, że asymilacja w Ameryce nie jest rzeczą tak rychłą, jakby można przypuszczać. Nie zaciera się tak prędko poczucie narodowościowe. I Niemcom i nam niesłusznie przepowiadają skon, choć z Niemcami robota łatwiejsza, bo podobieństwo religii, rasy i języka przyspiesza zupełną asymilację. A jednak Irlandczycy tak dawno już przyjęli narzecze anglosaskie, a przecież żyją silnie jako naród. Kwestya to zresztą, nad którą wolno myśleć, lecz nie wolno się namyślać. Śmiesznymi są wszyscy owi ludzie, którzy działając narodowo, robią obliczenia wypadków, mających nastąpić po setkach lat. Czyż pewnośc niezłomna, że w przeciągu jednego stulecia wymrze całe dzisiejsze pokolenie, odstrasza żywych od życia i pracy. Wypełniamy ściśle obowiązki, które przyrodzenie samo włożyło na nas jako na ludzi i jako na Polaków, a znajdziemy bez wątpienia licznych spadkobierców naszej myśli i pracy. —

Własne kościoły, szkoły, pisma, towarzystwa narodowe i wzajemnej pomocy — oto są zawiązane już węzły, które nie tak łatwo rozerwać. Są one bardzo poważne i nikt nie mógłby ich nazwać pozorowymi, lecz chyba tylko niewystarczającymi. Istnieją też inne, nierównie silniejsze, chociaż odległe. Mam na myśli łączność duchową z Polską w Europie i wyrobione już na tutejszej glebie tradycje polsko-amerykańskie. Z Europy płynie ciągle prąd ożywczy,

który stanowią praca i myśl narodowa, a te dzierzgają wspólną nić bratniego żywota. O zerwanie tych nici i przerwanie prądu lękać się nie można. Niesłychanie również ważnem jest tutaj wychowanie młodego pokolenia. Dzisiaj główny rdzeń inteligentnej Polonii stanowi duchowieństwo, i to starsze. Otóż musi się pracować nad zeświecczeniem pracy narodowej. Inaczej żywioł polski mógłby stracić całą inteligencyą, nawet duchowieństwo, a będąc narażonym na nacisk całego otoczenia, byłby przez to samo słabszy i ku upadkowi skłonniejszy. Praca w tym kierunku jest już zaczęta, choć z żalem wyznać trzeba, że znajduje ona silnych przeciwników, szczególnie wśród księży, którzy lękają się o wpływ, dotąd posiadany, jeśliby znaleźli się współzawodnicy do opieki nad ludem. Pogląd ten jest co najmniej przestarzałym, gdyż zapomnieć nie można, że z przyrostem inteligencji świeckiej rośnie znaczenie i zamożność narodowa. Jeśli inteligencya przepada dla obcych, lud sam zostaje upośledzonym, nie znajduje oparcia, myśli przedsiębiorczej i — marnieje.

Zapobiedz nie podobna, aby się lud nasz nie amerykanizował. Lecz amerykanizowanie nie znaczy to samo, co angliczenie. Kto żyje w Ameryce i korzysta tam z nieistniejących nigdzie zresztą na świecie swobód i wolności, a tem bardziej ten, kto się nawet w Ameryce urodził, musi czuć się Amerykaninem, lecz może zarazem czuć się Polakiem. Widzimy to u Irlandczyków. Taki stan rzeczy wymaga oczywiście wielkiej oświaty. Ameryka daje oświatę i oddaje nawet kierownictwo nad nią, trzeba tylko umieć kierować. Spodziewać się trzeba, że to nastąpi. Polonia Stanów Zjednoczonych nie znajduje się w szczęśliwem położeniu Parany, lecz nie jest

straconą. Obyśmy tylko mieli ludzi inteligentnych. »Słuchać,« mówił ks. Szokalski, »że w jednej z części Polski, t. j. w Galicyi, uskarżają się na nadmiar czyli tak zwaną hiperprodukcją inteligencji. Zdanie aż nazbyt naiwne, aby o niem warto wspominać. A jednak jakże życzyłbym sobie, aby u nas bodaj ślepi i naiwni mogli się skarżyć na tego rodzaju hiperprodukcją, do której dąży cała ludzkość i na której opierają się wszystkie wielkie narody, a z małych najsilniejsze. Czem dźwignęły się Czechy z dwuwiekowego mroku dziejowego, jeśli nie inteligencją. Czem Niemcy austriaccy trzymają za łeb współobywateli słowiańskich? Również inteligencją i tem przekonaniem, że każdy Niemiec do rządu urodzony, a Słowianin do posłuszeństwa. Dzisiaj, jak czytam, zaczyna się to zmieniać, lecz długo jeszcze będzie się Słowianin Niemcom wysługiwał i to wskutek własnej głupoty.«

»Losy nasze będą zostawały w związku z losami Polski w Europie. Im silniej obudzi się u was ogólne odrodzenie narodowe, tem lepiej i silniej my także staniemy. Dlaczego Francuz i Anglik nie asymilują się, lecz wchłaniają innych do swojej narodowości? Bo mają wolne ojczyzny, miłość swojego i wielką dumę narodową. Wierzę, że i my odzyskamy wolność, lecz dopóki to się nie stanie, zachowajmy miłość swojego i dumę z własnej przeszłości. Miłość mamy, lecz duma zaczyna się w ostatnich czasach zatracać. Może się mylę, lecz opowiadano mi, że podobnie jak u nas w Ameryce, tak i u was w Europie Polak rad popisuje się obcą gadaniną i traci nieugiętość wobec obcych. Oby to było chwilowym objawem, bo jedna tylko nikczemność narodowa zdolna jest naród sam gubić. Tak więc dźwigajcie się u siebie,

a co do nas, nie łudźcie się zbudowaniem nowej Polski na ziemi amerykańskiej, lecz bądźcie zarazem pewni, że odłam nasz będzie się rozwijał w swoich warunkach i długo jeszcze zdołał pień ojczysty.

Jeżeli napomknąłem kilka myśli dzielnego rodaka o jako tako korzystnych dla emigracyi polskiej warunkach, muszę przypomnieć kilka jeszcze kwestyi, które sprawie naszej wydają się być szkodliwe. Rozważaliśmy je wspólnie, a rezultat tych myśli spróbuję pokrótce przedstawić. Narody nowożytne są zbliżone do siebie wspólnem wychowaniem, mimo to, że dzielą je tak znaczne różnice plemiennie-kulturalne, historyczno-społeczne i językowe. Wychowanie to stanowią: etyka chrześcijańska i kultura grecko-rzymska. Dlatego zawsze prawie przepadają dla narodowości nieliczne jednostki, na ziemię obcą przeszczepione. Odmiennej przedstawia się sprawa z przesiedlonemi w obczyznę zbiorowiskami.

Jedno jest tylko plemię na świecie, które w zasadzie nie traci nawet jednostek. Są to żydzi. Przyczyną tego jest odrębność etyki i kultury. Żydzi nie tylko nie należą do społeczeństwa chrześcijańskiego, lecz etyka ich stoi w zupełnej sprzeczności z chrześcijańską, a kultura, o ile nie jest barbarzyńską, występuje wrogo przeciw kulturze narodów nowożytnych. Ustały dzisiaj walki religijne; nikt rozumny nie myśli o tępieniu żydów, ale nikt także nie wpadł na sposób zupełnego ich zasymilowania. Jestto żywioł jak najskawiej międzynarodowy i jako taki jedyny na świecie. Wskutek wiekowego prześladowania wyodrębnił tak dalece swój charakter, że nie umie pokochać nawet tej ziemi, na której żyje od wieków. Słyszy się niejednokrotnie o dokonanej już tu i owdzie assimilacyi, lecz jest ona tylko pozorną, a narody, które goszczą

niewielką nawet ich liczbę, odczuwają samoistne i najczęściej szkodliwe oddziaływanie obcego sobie pierwiastka. Najgorzej wyszła na nich Polska i dlatego u nas właśnie sprawa żydowska powinna się raz wreszcie jakoś rozwiązać. Stosunki nasze pozwoliłyby na dość wyczerpujące studyum o sprawie żydowskiej, a studyum takie byłoby bardzo zajmującym i pouczającym. Żydzi stanowią znakomity procent naszej ludności, należą do wszystkich warstw społecznych, a jeśli uwzględnimy podział ich wedle mowy, czysto zresztą zewnętrzny, mamy u siebie żydów-Niemców, żydów-Moskali, żydów-Polaków. Podział ten nazwałem czysto zewnętrznym dlatego, że język nie jest u żydów krwią życia narodowego. Tłum żydowski używa z jakimś szczególnem zamięłowaniem żargonu niemieckiego, choć Niemcy przez cały ciąg dziejów z największym wstrętem odwracali się od żydowstwa. O ile wolno mówić o sympatyach żydowskich, widzi się u nich największą skłonność do rasy germańskiej, najbliższej im przez swój zmysł kupiecki. Dla nas są żydzi aż po dziś dzień obcymi religijnie, ekonomicznie, językowo i narodowo. Ośm wieków gościny nie nauczyło ich wdzięczności ani miłości. Stan jest nieznośny i jeśli zdrowy postęp nie sprowadzi obopólnej spójni, doprowadzić musi do ciężkiej walki wewnętrznej. W Ameryce żyd nasz idzie za większością, a ponieważ ta jest angielską, więc i tu jest nam obcym. Dlatego szczęściem trzeba nazwać, że wyjąwszy New-Yorku i uboższych osad polskich, nie odgrywają żydzi w życiu polsko-amerykańskiem żadnej prawie roli.

Ważnym również czynnikiem, a niesłychanie szkodliwym w stosunkach polsko-amerykańskich, jest rozkrzewianie nauki nowożytnych barbarzyńców, którzy podnosząc na wyżynę hasła społeczne, lekceważą

narodowość jako taką i pomagają przez to większym narodom asymilować mniejsze. Czynią z ludzkością jak ów, który rozpoczął budowę od urządzania pokoi. Zapominają, że rozwój narodowościowy jest najpiękniejszym kwiatem i koroną działań cywilizacyjnych. Cały postęp i doskonalenie świata polega na wszechstronnem różniczkowaniu, a owi postępowi barbarzyńcy hasłami swemi zadają kłam własnym dążnościom. Nie można odmówić im wielkiej zasługi, iż dążą do sprawiedliwego rozdziału dóbr społecznych, lecz zasługa to nie nowa i ferment nie nowy, a zmieniony tylko zmienionymi stosunkami produkcyi ludzkiej. Zanim ludzkość przyswoi sobie z fermentu tego, co jest zbawienne, my tymczasem tracimy rychlej, niżby być mogło, wiele pierwiastków dla rozwoju narodowego. Dziwną przytem posługują się metodą: z jednej strony całkiem słusznie budzą poczucie indywidualne, z drugiej strony niweczą je, poddając człowieka pod ślepy rygor omackiem idącej organizacyi. Chrześcijaństwo rozwiązało bardzo już dawno teoretyczne ich problemy. I kto wie, czy nie należałoby rozpocząć reformy społecznej od doskonalszego schrześcianizowania ludzkości. Wiara na ustach nie buduje i właśnie dlatego trzeba by czyny uczynić chrześcijańskimi. Równoległe uświadamianie społeczne i narodowe ułatwią robotę, a będzie ona prostszą i pewniejszą. Na wielką tę prawdę ci się tylko nie zgodzą, którzy nie uznają na świecie ręki Opatrzności i wyznaczają człowiekowi równorzędne z bydlęciem stanowisko. Co do mnie, lękam się, czy z tego stanowiska możnaby wogóle prowadzić dyskusyą o reformie społecznej. Trzeba by chyba Tamerlanów lub twierdzy petropawłowskiej, lecz czy to będzie reforma? W krytyce socjalizmu, szczepionego między naszymi na gruncie

amerykańskim, utwierdza mię osobiste zdarzenie, którego doznałem w podróży. Jechałem raz wozem, czyli z angielska po polsku, karą elektryczną i przeglądałem I. tom literatury Chmielowskiego. Jakiś jegomość, za mną siedzący, powstał i z za moich pleców wpatrywał się w książkę. Odwróciłem się, a wtedy on pozdrowił mnie uprzejmie i przemówił z jakimś żalem tłumionym : »Ja już prawie dziesięć lat nie widziałem polskiej książki.« »Dlaczegoż sobie pan nie kupi?« zapytałem, »zresztą powinien pan mieć przynajmniej modlitewnik z lat chłopięcych.« »Kiedy ja do kościoła nie chodzę,« odpowiedział. »Dlaczego?« »Przecież kościół to nie kamienie,« usłyszałem. Przysiadłem się do towarzysza i zacząłem rozmowę, z której dowiedziałem się, że należy do związku socjalistycznego, a przez to samo odcięty jest od wszystkich towarzystw, w których mógłby się stykać z myślą polską. Tłumaczyłem, że można przecież jedno z drugim pogodzić i koniec końców rozstaliśmy się z wielką czułością. Zdarzenie to, choć odosobnione, pokazuje jednak wyraźnie, że propaganda socjalistyczna usuwa naszych od związków z rodakami.

Nie można także pominąć wpływu, który wywiera zbiegowisko wielkomiejskie. Typowemi zbiegowiskami są bez przesady miasta amerykańskie, gdyż obejmują w setkach tysięcy różne narodowości. Pokost języka rządzącego przyobleka wszystkie inne i wytwarza dziwaczny, zgiełkliwy czysto amerykański aliaż, nie dający się z niczem porównać. Język rządzący może stać się powszechnym i jeszcze bardziej stopić wielobarwny konglomerat, może urobić nowy jakiś typ narodowy, mieszczący wszystkie wady i zalety poszczególnych zbiorowisk. Ukrywa się w tem wielkie niebezpieczeństwo dla słabszych liczebnie narodowości. My

pod tym względem cięższą niż inni mamy robotę, gdyż materyał, który skupiamy, jest bardzo często za mało uświadomiony. Rozpacz chwyta za serce, lecz gdzież zdobyć należyte poczucie narodowe, jeśli wróg przygniata moralnie i materyalnie. I to już wielką pociechą, że nie asymilujemy się prędzej niż inni, lecz raczej powolniej. Tysiącletnie życie samostatne, świetna przeszłość i żywe wspomnienia, właściwe uczuciowej naturze słowiańskiej, ułatwiają wspólną pracę na gruncie amerykańskim. Trzeba zaś przyznać, że Polska amerykańska pracuje, jak może, a przynajmniej jak umie. Uświadomienie dokonywa się ciągle, choć rezultat pracy nie bije w oczy, choć owoce mniej może są bujne. Jednakże są owoce, a jeśli nazwałem je mniej bujnymi, mogłaby się słusznie pogniewać na mnie piękna rodaczka, p. M. Sz., której wspomnienie zgola odmienne zdanie powinno mi pod pióro podsunąć.

Pamiętam żywo. Z nad Michiganu przyszła noc i otuliła Milwaukee całunem z gwiazd i ciemnego błękitu. Znajdowałem się w polskiej dzielnicy przy ul. Pułaskiego. Starsi zostali w izbie gościnnej, a my młodsi oboje wyciągnęliśmy wygodne *rocking-chair'y**) na wysiadkę przed prześliczne mieszkanko. Po chwili kołysaliśmy się niedbale w ciepłym zmroku i ciszy pogodnej nocy. Towarzyszka obserwowała we mnie ciekawego przybysza, a ja poilem się srebrnym dźwiękiem głosu uroczej rodaczki. Mówiła biegle językiem ojczystym, a tylko czasem obcy akcent lub zwrot wyrażenia zdradzały, że pobierała wychowanie w szkole amerykańskiej i z konieczności częściej mówiła po angielsku. Natomiast nieźle znała nasze piśmiennictwo, a najnowsze lepiej nawet może, niż

*) Krzesła do huśtania, bardzo rozpowszechnione w Ameryce

— proszę o przebaczenie — niejedna z panienek, wychowanych w ojczyźnie. Książki polskie wypożyczała z biblioteki publicznej miasta Milwaukee. Jakaś słodkość rozlewała się po sercu, gdy mówiła, że dwa tylko kocha języki: polski i angielski i chciałaby, aby mówiono nimi na całym świecie. I stanie się tak, serdeczna rodaczko, jeśli wszystkie nasze dziewice w domu i na wychodźstwie takie jak ty serca posiedzą i rzeczy ojczyste tak pokochają. Jeśli będziesz czytać tę skromną garstkę wspomnień, nie gniewaj się za szczerość i bądź pewną, że wieczór ów spędzony w twojem towarzystwie, uszlachetnił mą duszę, jak strumień ożywczy użyźnia niwę. Będzie on jednym z najdroższych wspomnień wędrowca, z wspólnej nam, nieszczęśliwej ojczyzny.

O niebezpieczeństwie wynarodowienia, które miasto sprowadza, myśleli już działacze nasi w Ameryce. Wspomniał mi p. Klobasa, były skarbnik miasta Chicago, że zamierzono już od lat kilku pewną część robotniczej ludności miejskiej skolonizować po wsiach. Myśl to wielce zbawienna, tem bardziej, że całe powiaty ziemi w stanie Wisconsinu znajdują się w rękach polskich. Oby udało się pomnożyć liczbę tych naszych farmerów. Sprawa kolonizowania nie jest jednakże tak łałwą, jakby można sądzić na oko. Robotnik, przyzwyczajony do gwaru i rozrywek wielkomiejskich, nie rad porzuca swe miejsce. Woli pracę zależną w mieście, niż najlepsze nadzieje na farmie. Wszakże spodziewać się można, że jeżeli na czele organizacji kolonizacyjnej staną ludzie uczciwi i godni zaufania, nie pozostanie płonną myśl, której urzeczywistnienie jest ze wszech miar jak najbardziej pożądanem. Ciężkie nasze losy nie pozwalają zbytnią łądzić się nadzieją, lecz faktem jest, że gdybyśmy rozporządzali równym

zasobem sił materyalnych jak moralnych i gdybyśmy nadto kierowali się roztropnym planem działania, wtedy wielki szmat ziemi od Michiganu aż po Missisipi mógłby zostać naszą własnością. Rozerwanie ojczyzny, nierozumienie szerokich potrzeb ogólnego rozwoju ekonomicznego, trwonią w znacznej mierze nasze siły emigracyjne. Dobrze jest, że mamy wychodźców po wszystkich miastach i zakątkach Ameryki i że wszędzie własnym porozumiewać się możemy językiem, lecz o ileż lepiej byłoby, gdyby siły emigracyjne na jeden punkt były skierowane. Z jakąż nadzieją możnaby patrzeć w przyszłość takiej kolonii. Tymczasem lękam się, czy nie strwonimy przez własną nieudolność i brak orientowania nawet tych nabytków, które posiadliśmy losem Opatrzności w nadzieje budzącej Paranie. Myślimy prowincjami, a tracimy z oczu ogólny horyzont Polski. I kto wie, czy nie jest to jednym z największych nieszczęść naszego męczeństwa po rozbiorze.

Wiele jeszcze, bardzo wiele czynników możnaby roztrząsać, gdyby się chciało rozbierać losy naszej emigracyi. Przytoczyłem niektóre, bardziej uderzające i te, które pamięć dorywczo przywoła. Ileż chwil schodziło nam w Ameryce na takich dyskusjach? Był to stały motyw, który się wplatał w każdą niemal pogawędkę. Taki los wypadł nam na świecie, że pozbawieni własnych instytucyi politycznych, staramy się bodaj w rozmowie wspólne poznać myśli i dążenia. To, co się słyszy, rozdziera nieraz serce, a jednak krzepi zawsze i umacnia do dalszej pracy. Wszystkie zakątki na świecie słuchają o naszych skargach i nadziejach. Tak być musi i tak być powinno. Męczeństwo rodzi siłę i wyznawców, a jeśli inne czyni tego w którymkolwiek narodzie, podłym

jest taki naród. A niema pod słońcem drugiego narodu, którego męczeństwo dałoby się z naszym porównać. Więc szczęśliwymi czuć się możemy, że niema także drugiego narodu, któryby naprzekór przemocy i wszelkiej zbrodni ludzkiej posiadał większą wiarę w dobrą przyszłość. Póki nam nie braknie tej czynnej wiary, póty godnymi jesteśmy żyć i żyć będziemy. — Europa, którą zasłaniałismy własną pierśią, zapomniała na długowiekowe zasługi, niewdzięczny świat ucywilizowany zapomniał o najszczytniejszem dziele epoki nowożytnej, którego dokonała Francya i Polska. Zdobycze naukowe XIX. wieku spodliły świat ducha, zamiast go podnieść na niewidziane dotąd wyżyny. Batog mongolski, błazeńska czapka pruska, wszeteczny pieniądz angielski i żydowski dyktują prawa. Jedna, jedyna Słowiańszczyzna zachodnia wyobraża jeszcze dzisiaj myśl chrześcijańską. Niestety! Największy wróg jej, Słowianin wschodni, Moskal, wydał ją na łupieztwo Wandalom.

Przychodzi na myśl obraz, który oko widziało na morzu. Rozhukane bałwany przewalają posiniałe grzbiety i toczą się w dale. Opadają ołowiane obłoki i tworzą czeluść, duszną, ciężką, piekielnobarwną. Na pokładzie statku człowiek przygnieciony spogląda wokół zmęczony i obojętny. Przewracaj się falo, pograżaj wszechświat w topieli! Wygub życie, usuń nikczemny statek z widoku, aby nie mącił obrazu, który stworzył żywioł! Nagle z krzykiem przelatują mewy. Człowiek ocknął się z przygnębienia, rozwarł szeroko powieki, pragnie żyć i wyrwać się z ucisków żywiołu. Naród nasz jak mewa, na morskich skałach mieszkająca; otchłań otacza go dokoła, a gdy inni zwątpili w świat ducha, on żyje nad otchłanią, żyje silny i woła o prawa dla duszy. Czy krzyk jęklivy

obudzi echo w spodlonej kulturze nowożytnej, zakazanej trucizną strasznej reakcyi? Czy ludzkość obudzona naszym krzykiem życia, zechce wyswobodzić stężale już członki z dusznej przepaści i ogrzać je w promiennym blasku szczęścia duchowego? Powie ktoś: idealizm tworzy mgliste obrazy fantazyi. Tak! Od pierwszej pobudki legionów Dąbrowskiego tkwi w naszych losach wielki idealizm i wielka się kryje idea. Kto jej nie widzi, nie jest Polakiem lub być nim niegodzien. I obraz nie jest fantastycznym i idea nie mglistą.

Zamykając krótkie te wywody, muszę jeszcze na chwilę napomknąć o wyrobionej już tradycyi polsko-amerykańskiej. Ma ona swoich bohaterów, swoje pergaminy i pamiątki. Krótki moment nie zdoła w niwecz tego obrócić. Arka własnych pamiątek zamyka ów znicz niespożyty, który w stosownej chwili nieobliczalną potęgę obudza. A więc nie łudźmy się przesadną nadzieją, lecz i wątpić nie wolno. Emigracya utrzymuje nas w rzędzie najżywotniejszych narodów. I w tem już ważne zadanie na dzisiaj. Przyszłości nie znamy, lecz pozwolę sobie powtórzyć słowa ks. Szokalskiego: »emigracya długo jeszcze będzie zdobić wspólny pień ojczysty!«

* * *

Obiegałem z ciekawością miasto, które choć nie największe, zaliczają Amerykanie do swoich najpiękniejszych. Pomimo tego bowiem, że jest zupełnie nowe, jak przeważna część miast amerykańskich, może być uważanem za mieszkanie dla ludzi, a nie za wielką tylko kolonią fabryczną, ziejącą ogniem i

dymem jak smok apokaliptyczny. Jeżeli tak niegrzecznie wyrokuję o miastach amerykańskich, czynię to jedynie w zamian za wszystek dym i węgiel, którymi przy zwrotnikowej spiekocie kazały mi oddychać. Chicago było pod tym względem najbardziej może klasycznym. A jednak nieraz myślałem sobie: gdyby to u nas jak najprędzej stanęły takie parowo-elektryczne Babilony. Toć jedno miasto amerykańskie większymi obraca sumami, niż u nas całe prowincye. Milwaukee zawdzięcza również rozwój swój ogromnemu przemysłowi, a tylko roztropność mieszkańców czy też przypadek sprawiły, że ogniska fabryczne skupiają się na krańcach miasta i dlatego dużo tlenu pozostaje dla obywateli śródmieścia. Czy jednak można mówić o osobliwościach Milwaukee? Można, bo ma swój Michigan i wspaniałą dzielnicę bogaczów. Bogaczami nie są niestety nasi, lecz Irlandczycy, czyli jak ich tu zowią Ajrysze i Żydzi. Rozkosz prawdziwa przechadzać się tam pieszo lub przejeżdżać jednokonną bigą po betonowym bruku. *Odi profanum vulgus* — powiedzieli sobie milionerzy i zamknęli się w przepysznym raj. Niema tam dymu, ruchu gorączkowego, zbiegowisk, nie wolno nawet przejeżdżać ciężkim i turkotliwym wozem, gdyż za ten przywilej opłacają się miastu. Wszystkie mieszkania, które nie wiedzieć jak nazwać: zamkami, pałacami czy willami, spoglądają ku jezioru. Zewnątrz okalają je ogrody z roślinnością zwrotnikową, fontannami i posągami zalotnych dryad i wstrętnych satyrów, wewnątrz panuje przepych, godny Nababów. Złote sny snują się na złoconych wezgłowiach, lecz czy także dyademy myśli roją się w skroni, zdobnej w dyadem. O tem wiedzą tylko blade diwy, pieszczone jak najmilsza odaliska w haremie sułtana.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, w jaki sposób bogacze budują mieszkania. Według zwyczaju wyjeżdża niedawny dorobkiewicz w podróż do przestarzałej, a jednak zawsze ponętniej Europy. Ogląda ruiny szkockie, zamki nad Renem, pałace weneckie i wille neapolitańskie. Wybór godny zazdrości, więc gust już tylko rozstrzyga o dziele. Przywołuje znawcę i każe odfotografować dom i postarać się o plany. W rok potem dźwiga się nowe eldorado nad Michiganem, bliźniaczo podobne do swego pierwowzoru w Europie. Jedno tylko stoi na zawadzie. Nie zawsze zamek dobry na równinie, nie zawsze willa z pośród lasów piękna nad jeziorem, lecz w każdym razie jest osobliwość, a reszta drobnostką. Stąd pochodzi ogromna różnorodność owych domowstw, która łagodzi niestosowne warunki położenia i tworzy właściwy sobie typ: dzielnicę milionerów amerykańskich. Jeszcze przed laty czterdziestu dzielnica ta była zupełnie pustą, a ptactwo wodne nurkowało wśród trzciny wodnej i innych zarośli. Wówczas ofiarywano ją za bezcen pierwszym polskim osadnikom. Zawahali się i osiedli w pewnej odległości, w dzisiejszej parafii św. Jadwigi. Tymczasem spryt zbudował dzielnicę i sprzedaje każdą piędź ziemi po niebywałych cenach. Osadnicy nasi mogli posiąść krocie, gdyby przewidzieli, co okres niedługi przyniesie. Dzisiaj zapóźno, bo wstęp tam tylko dla wybranych.

Ma także Milwaukee swój browar Pabsta, największy na świecie, swoją fabrykę maszyn i swoją garbarnię, również największe na świecie. Za zgodność z prawdą nie ręczę, może to tylko zręczna reklama, a może miłość swojego. Wszak i my w Krakowie największą na świecie mamy wieżę i największą rzekę. Nie można nigdy potępiać ludzi, jeśli własne

rzeczy cenią najwyżej, naprzekór utartemu o nas zdaniu poety: »cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie.« Oglądałem z podziwem wszystkie te zakłady, lecz niestety będąc członkiem narodu, które nie chce wyrobić sobie zaufania w własne zdolności ekonomiczne, prócz wyrażenia podziwu, nic więcej nie umiem powiedzieć. Jako profana zajmował mnie bardziej niezrównany widok, jaki rozciągał się, nie pamiętam już, z którego piętra wysmukłej wieży ratuszowej. Dzielnym narodem są ci Amerykanie, skoro tak dbają o budowle publiczne. Ratusze ich, biblioteki, muzea, szkoły, są dziełami, naprawdę monumentalnymi. W muzeum sztuki, podarowanem miastu przez jakiegoś nababa, spotkałem ku niemałej radości dwa obrazy polskich artystów, między nimi jeden p. Wierusz-Kowalskiego. Biblioteka zbudowała mnie niepomniernie znakomicie urządzoną czytelnią i ogromnymi zbiorami. Wielka też musi być ufnosć w poczucie własności publicznej. jeśli wypożyczanie książek odbywa się bez żadnej prawie kontroli. Przychodzę do czytelni, przeglądam katalog i wybieram książkę. Zapisuję numer na karteczce i wrzucam do automatu. Za chwilę dostaję książkę, choć nie miałem przed sobą żadnego człowieka. Uproszczony kłopot i trudności, lecz czy możliwe u nas w Europie?

Każde miasto amerykańskie ma ogromne i wrowo urządzone parki. Ma je i Milwaukee, lecz jakąż szkoda, że prawie ich nie mają nasze miasta europejskie i ażeby zaczerpnąć świeżego powietrza, trzeba jechać do Abazyi lub Nicei, jeśli zdrowy rozsądek i rozumna oszczędność nie każą nam jechać w ojczyście góry. A jakie malownicze i swobodne życie w tych parkach, niekiedy nawet serdecznie wesołe. Oto jakiś

rozgniewany chłopiec pędzi za dziewczynką i chce ją koniecznie uderzyć. Dziewczynka pragnie schronić się do pobliskiej altanki, chwyta za klamkę, a tu drzwiczki zamknięte. Niespłoszona odwraca się odwrotnie, odwija koszulkę z rączki i nastawia kułak do boksowania. Zaskoczony chłopczyna zatrzymuje się przez chwilę, wraca mu rozsądek i odchodzi spokojnie. Nie przystoi bowiem, aby młody gentleman turbował fizycznie młodą lady. Scena kończy się wzajemną zgodą; wszystko jest *all right*. Takie obrazki specjalnie amerykańskiego życia i sposobu myślenia spotyka się na każdym kroku; młodzi grają w piłkę, pary zakochane umawiają się o dzień ślubu, samotni snują koniunktury o przyszłych przedsięwzięciach, starsi skinają głowami w spokojnej rozmowie: cała galerya typów, a na małą skalę cała arena życia publicznego.

Uknułem spisek. Kuzyneczkę kuzynki znajomego księdza proboszcza namówilem do rybołówstwa. Przecież każdy Milwaucazanin musi zwiedzić Waukesha-Beach, bo to jedna z osobliwości okolic Milwaukee. Po drodze wywindowałem się jeszcze na piąte piętro i złożyłem pokłon redaktorowi »*Kuryera milwauckiego*«. Był w humorze śledziennika, gdyż skąpo tylko darzył informacjami, a może nie dowierzał włóczędze. Toteż prędko znalazłem się na dole i w towarzystwie obu kuzyneczek, jednej było na imię Leonia, oblegliśmy tramwaj i za godzinę byliśmy na miejscu. Co teraz począć? Panie były w strojnych toaletach, więc wędka przeszkadza. Nie mogłem opuścić dam i dlatego skierowaliśmy wspólnie kroki na piękny parowczyk i puściliśmy się na wyborną przejażdżkę. Waukesha to prześliczne jezioro, o ciemnej toni, gdyż z trzech stron otoczone lasem. W lesie restauracye,

domki, huśtawki, deptaki itd. Jechaliśmy dość wolno, a choć rozpaczliwe gorąco odbierało ochotę do wszystkiego, jednakże nie można było nie patrzeć na mnóstwo łódeczek i na zapalczywe oblicza rybołówców. Trud opłacał im się doskonale, gdyż co chwilę wyciągali łakome rybki. Jest ich tam nadzwyczajna obfitość i dlatego każdy wycieczkowiec mógł śmiało powrócić z ogromnym worem na plecach. Nie mogę do dzisiaj wyżałować, że grzeczność dla pań uratowała życie setkom ryb, któreby były padły ofiarą mej wędk. Lecz nie wiem także, czy okrucieństwo nad rybami nie kazałoby mi naodwrot żałować tak miłego towarzystwa.

Nie wiem, dlaczego w powrocie z wycieczki, a wogóle bardzo często w Ameryce rozmyślałem o małżeństwie. Jeżeli waszem to było dziełem, nadobne rodaczki, nie dziwcie się, że tak często o was wspominam, a niejedno moje westchnienie ulatuje do was za oceany. Żałuję, że nie przychodzi mi na myśl stosowna zwrotka z poety, którą mógłbym zakończyć czułą apostrofę i przenieść się wraz z towarzyszkami do spokojnego schroniska inwalidów, które znajduje się tuż przy drodze. Trzeba przyznać, że nieźle czasem zostać inwalidą i mieszkać swobodnie w cichej ustroni niedaleko zgiełkliwego miasta. Domki wytworne, ogród wzorowo urządzone, szpalerami przechadzają się starcy w błękitnym stroju, kurzą lulki, gawędzą, rzucają rybom drobiny bułeczki lub bawią się z mnóstwem wiewiórek, które tu mieszkają zupełnie oswojone. Niektórzy chłodzą się szklaneczką piwa, gestykulują i wymachują wcale energicznie jak na starców. Prawie wszyscy tutejsi mieszkańcy to rozbitki z ostatniej wojny domowej, choć mówiono mi, że niektórzy z nich nie wachali

nawet prochu, lecz tylko zapisani byli w szeregi wojenne. Liczba takich schronisk ma się znacznie pomnożyć po ostatniej wojnie hiszpańsko amerykańskiej, a sceptyczni, czy też sarkastyczni, przebąkują, że bardzo wielu ludzi spokojnych znajdzie w nich schronienie, choć jako żywo nie widzieli ani Manilli ani osławionych Hiszpanów. Niema na to rady, biznes musi być wszędzie, a ten może nie należy do najgorszych.

Kilkogodzinna, urozmaicona wycieczka nastroiła nas w bardzo właściwy ton do przyjęcia gościny w domu jednego z naszych osadników. Mieszkał z własną tylko rodziną w całym domku, jak to się dzieje ogólnie zresztą w Ameryce. Urządzenie domu było wcale okazałe, lepsze zapewne niż u większości naszych urzędników. Koberce, czyli jak je tu zowią karpety, zdobiły podłogę, ściany były obite, meble wyściełone, pianino dla córek stało w jednym rogu. Wszystko to znajdowało się w mieszkaniu prostego robotnika, który niewolnikiem prawie będąc w Europie, tu jest prawdziwym człowiekiem i czuje godność ludzką. Zgotował nam przyjęcie bardzo uprzejme i obfite i wielce był uradowany obecnością przybysza z dawno pożegnanej Polski. Wypytywałem o stosunki i przekonałem się, że wcale zdrowo sądzi o różnych rzeczach na świecie. Nie był to robotnik wyjątkowy, takimi są wszyscy stale już osiadli w Ameryce. Tryb ich życia jest prawie jednakowy, o ile większa zamożność nie pozwala przekroczyć sfery zupełnie wystarczających potrzeb. Spożywają trzy razy na dzień mięso, używają nabiału, piwa, dobrych cygar, jeżdżą na wycieczki, — więc czy wolno gniewać się na sam fakt emigracji. Prawda, że wielu ginie przez swe niezdecydowanie, czy wrócić

do kraju, czy zostać w nowej ojczyźnie, lecz z tych, którzy ocalili, a jest ich prawie ogół, wyrabia się materiał na prawdziwych ludzi. Dzieci ich nabywają bardzo pięknego typu, który właściwym jest u nas zamożniejszym tylko rodzinom, wyrastają na zupełnie dojrzałych obywateli wolnego kraju, a córki posiadają taką urodę i biegłość w języku angielskim, że kto wie, czy nie zawstydziłyby niejednej z naszych papużek w *high life*, popisujących się na swej ziemi narzeczem Albionu. Byłem właśnie świadkiem, jak jedna z córeczek odegrała na fortepianie narodowy hymn polski i amerykański, a ośmioletni synek wyrecytował przepyszenie jakiś wierszyk angielski i polski: Wolność Tomku w swoim domku. Dodaję, że robotnik ojciec pochodził ze wsi, z Wielkopolski.

Dzień owej wycieczki stał się dla mnie prawdziwie pomyślnym w zbieranie przeróżnych wrażeń. Odprowadziłem towarzyszkę do domu i pożegnałem z wielką obopólną serdecznością miłem: do widzenia. W powrocie potknąłem o gromadę księży i świec-
kich, między którymi był jeden biskup amerykański i jakiś gruby kanonik, a reszta wszyscy nasi i z nimi mój wuj. Biskup zdziwił się, gdy wyraziłem zamiar ucałowania mu ręki, pożegnał nas uściskiem dłoni, a gromadka nasza zapędziła się do poblizkiej gospody, aby przepić czas, dzielący nas od wielkiego przedstawienia na cześć zwycięstwa Ameryki nad Hiszpanią. Wiadomość sama niesłychanie mnie zainteresowała, toteż z całą niecierpliwością oczekiwałem naznaczonej godziny.

Gdy weszliśmy nareszcie do ogromnej sali, była już przepelnioną kilkotysięcznym tłumem. Muzyka zagrała hymn narodowy, a równocześnie podniosły się wszystkie ciała i ręce, trzymające wysoko

gwiaździste chorągiewki. Następnie oddawano muzyką obraz bitwy pod Manillą. Słysząc było pobudkę, świst kul, jęk rannych, okrzyki zwycięstwa. Jedno wielkie hurra! było odpowiedzią na sztukę grających. Wtedy wstąpił na estradę jakiś młody gentleman i zaczął piorunującą mowę od słów: »My wolni obywatele Ameryki«. Gromy padały na biedną Hiszpanią, na kulturę europejską, na system militarny i wszystkie okropności starego świata. Stany Zjednoczone występowały w świetle najlepiej na świecie zorganizowanej rzeczypospolitej. Fanatyzm, szowinizm i najognistszy patryotyzm ogrzewał każde jego słowo, toteż po zakończeniu rozległy się burzliwe oklaski. Gentleman wcale nawet za nie nie dziękował, bo widocznie sądził, że to jest zupełnie naturalnem, jeśli Amerykanin najbardziej wielbi i kocha Amerykę. Na zakończenie rzucano na ekran sceny z wojny, wodzów jej i bohaterów. Hiszpańskie podawano w karykaturze i witano przeraźliwym sykiem. Amerykańskie pozdrawiano klaskaniem, ogłuszającym krzykiem, wyciem i gwizdaniem. Gwizdanie bowiem, przeciwnie niż u nas, oznacza humor i dobre przyjęcie ze strony widzów. Entuzjazm niesłychany, który przepelniał salę, dawał wyobrażenie o świadomym sobie patryotyzmie, a przynajmniej o ślepem i bezgranicznem uwielbieniu dla wszystkiego, co amerykańskie. I pocóż w kraju takim stawiać armie stałe, kiedy wolność i dobry byt powołałyby w razie potrzeby wszelkie możliwe siły do walki z napastnikiem. Jakże daleko do takiego widnokregu w Europie, gdzie wygórowana wolność teoretyczna pomieszała się z najsłabszą niewolą i ogłupieniem tłumów. Nic też dziwnego, że dumnym czuje się Amerykanin, ilekroć los swój porówna z losem reakcyi i ukazów

w Europie. Dla ścisłości muszę zaznaczyć, że i na tem zgromadzeniu nie wszystkie akordy brzmiały melodyjnie, lecz powrócę jeszcze do tej sprawy, omawiając ogólnie i w krótkości stosunki społeczno-amerykańskie.

* * *

*Time is money**) — powiada słusznie Anglik. Opóźniwszy o tydzień wyjazd do Chicago, straciłem dolara. Przed tygodniem bowiem odbywała się walka konkurencyjna dwóch przedsiębiorstw okrętowych, która pozwalała podróżnym po coraz niższej cenie przejeżdżać z Milwaukee do Chicago. Ostatecznie stanęło na tem, że jedno przewoziło za centa, a drugie za darmo. Cent zwyciężył, gdyż miał piękniejsze i wygodniejsze parostatki i podniósł zaraz cenę na zwykły poziom dolara, przeciwnik zaś, nie chcąc do szczytu zbankrutować, poszedł w jego ślady. Zapłaciłem więc za tygodniowe opóźnienie dolara, lecz zasługiwał na to w zupełności właściciel pięknej »*Virginii*«. Takie było miano statku, którym jechałem. Najśliczniejsza pogoda roztoczyła nieporównany błękit, który odbijał się w nieporównanym również błękicie Michiganu. Mogłem być zawołać za Mickiewiczem w Switezi:

»Nie pewny, czyli szklanna z pod twej stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyli też niebo swoje szklanne stopy
Aż do nóg twoich ugina.«

Wrażenie nadzwyczajne, jeśli pomyślisz, że to słodkowodne jezioro nie wiele jest mniejsze od Adryatyku,

*) Czas to pieniądz.

a w niczem nie zdradza swej władzy, choć tonący w okręgu wód widnokrąg mówi ci wyraźnie, że jesteś daleko od brzegów. Jakże odmienny widok od potężnie pędzącego fale Atlantyku. A jednak i Michigan umie się niepokoić, a majtkowie opowiadają, że gniew jego niebezpieczniejszym bywa niż gniew Atlantyku. Nie chcę obrażać Michiganu, że przypominałby w takich razach żabę, podsuwającą nóżki do okucia, tem bardziej, że w tak piękne szaty wystroił się na moje powitanie. Rozglądałem się razem z innymi, zapuściłem w głębię butelkę, aby napić się wody i przekonać się, czy naprawdę jest słodka, a nasycawszy oko rozłożyłem się po amerykańsku na najwygodniejszym w świecie fotelu. Tak przynajmniej opowiadał napis na odwrotnej stronie, a ponieważ był w istocie bardzo wygodny, nie chcę się przekomarzać. Damy amerykańskie nie dziwiły się bynajmniej mojej swobodzie i wzięły mnie prawdopodobnie za bardzo bogatego młodzieńca, gdyż z oczek ich wyzierał cudowny błękit, okraszony jakąś melancholią, zupełnie podobny do spojrzenia Michiganu. Udając, że jestem jako skała, o którą bez skutku odbijają się potężne fale błękitów spojrzenia, wydobyłem z kieszeni broszurkę »O dziennikarstwie polskiem w Ameryce« i zagłębiłem się w uroczystą lekturę. Jakieś magnetyczne fluidy odrywały niekiedy oko od ciekawych kartek, lecz koniec końców dotarłem do deski, a gdy wyszedłem na pokład, ogromne koło Lincoln-Parku w Chicago mrugało już na mnie barwnym światłem.

Ponieważ był już wieczór, zapędziłem się do pierwszego spotkanego hotelu i po różnych przedwstępnych ceremoniach ułożyłem się do snu. Dopiero nazajutrz dowiedziałem się, że był to hotel Bismarka.

Błogosławieni zaprawdę niewiedzący, gdyż nie pokazał im się w marzeniu sennem ani łysy kanclerz o trzech włosach ani ulubiony jego buldog, cały sierścią pokryty. Różne adresy chowałem w zanadrzu, lecz nie chcąc się wypytywać, ale korzystać z drugiej złotej maksymy wuja Sama: *help you self**), puściłem się na własnowolne poszukiwania. Najprostszą do tego drogą wydało się wsiąść na tramwaj i jechać. Jakoż zwiedziłem piękny Lincoln-Park i jakiś na przeciwnym końcu położony, a oddalony od pierwszego o kilka mil angielskich. Nie dotarłem do celu, lecz za to zobaczyłem dzielnicę chińską i murzyńską. Na murzyńskiej muszę się zatrzymać. Tu bowiem jakiś czarnolicy i czarnowłosy chłopiec z tak wzruszającym spojrzeniem oglądał moje buty, że za przykładem innych usiadłem w głębokiem krześle na ulicy i przypatrywałem się do sztuczki doprowadzonej do czyszczenia obuwia. Dodaję nawiasem, że jest to przywilej Murzynów, a kosztuje 5 ct.

Chłopcy amerykańscy znają swoich ludzi i wiedzą, że każdy porządny obywatel czytuje codziennie nowości. Za chwilę wyskoczył jeden na nasz tramwaj i począł krzyczeć w niebogłosy: *daily news, papers***). Ponieważ wiedziałem, że krzyk, lubo godny lepszej sprawy, przynosi w każdym razie małemu chłopcu około dolara dziennie, wydobyłem centa i za chwilę rozkoszowałem się sensacyjnymi wiadomościami dnia ubiegłego. Taką sprzedażą gazet trudnią się synowie wszelkich rodzin, a o powodzeniu rozstrzyga zrećność w skakaniu i zeskakiwaniu z tramwajów w pełnym biegu, gładkość lica i siła głosu. Zalety te mogą kiedyś doprowadzić chłopca choćby do godności pana

*) Pomagaj sam sobie.

**) Dziennik, gazety.

prezydenta Stanów Zjednoczonych, która to godność wydaje się każdemu Amerykaninowi łatwiejszą do dopięcia, niż Napoleonowi pomysł zostania cesarzem Francuzów, królem rzymskim i radzą indyjskim. — Nie wskórawszy nic na prostej drodze, która przecież i do nieba prowadzi, puściłem się na manowce. I o dziwo! Niezadługo spostrzegłem polskie napisy i polskie nazwiska. Byłem istotnie na Stanisławowie, w polskiej dzielnicy, a parafii OO. Zmartwychwstańców i św. Krzyża.

Tu muszę przerwać i nawiązać rzecz z szerszego stanowiska. Chicago ma przeszło milion ludzi. W liczbie tej mieści się przeszło 150.000 Polaków, tyleż prawie Czechów i około dwa razy tyle Niemców. Ponadto znajdują się w niem liczni Słowacy, Litwini, Serbowie, Żydzi, Ajrysze, Francuzi, Włosi, Cyganie, Murzyni, Chińczycy itd. itd. Gdyby kto miał ochotę, mógłby w Chicago łatwiej niż gdziekolwiek indziej na świecie najwyborniejszym zostać poliglottą. Przyszło mi na myśl, że godziłoby się wysłać tutaj naszych wielkich panów, widzących w wielojęzyczności szczyt kultury i dobrego wychowania. Aczkolwiek miłoby mi było opisywać pralnie chińskie, elegancję murzyńską, nożownictwo włoskie, rude włosy Ajryszek i inne tego rodzaju osobliwości miasta Chicago, wolę zapytać obok stojącego chłopczyka o mieszkanie OO. Zmartwychwstańców i redakcyę »*Dziennika Chicagowskiego*«. W mniemaniu, prawdziwem zresztą, że dziennikarze gadatliwsi są i bardziej uprzejmi niż inni śmiertelnicy, kieruję naprzód kroki do domu, nad którym widnieje wielki napis: »*Dziennik Chicagowski*«. Wprawdzie naprzeciw prawie błyszczy inny napis »Zjednoczenie«, a obok »Zgoda«, lecz nie chcąc pozostać klapouchym z bajki Fredry, kroczę do »*Dziennika*«.

Ducha dziennika, ks. Gordona, nie było w redakcyi, więc przyjął mnie współredaktor p. Neuman. Gawędziarz niepospolity opowiadał przeróżne ciekawości. Przypomnę jedną, która mu się przydarzyła przy pierwszym wstępie do Ameryki. Były gospodarz przywiózł z utraconego mienia kilkaset jeszcze guldenów. Przybyłemu nasuwać się musiało pytanie, co z sobą począć i jak zarabiać na chleb codzienny. I oto wpadł na doskonały pomysł robienia papierosów w tutkach na potrzeby polskiej ludności, która jest głównym ich konsumentem. Inni bowiem Amerykanie palą cygara lub żują tytoń, zaprawiony narkotykiem. Damy czynią niekiedy to samo, ale obok tytoniu używają częściej pastylek żywicznych, które podobno odświeżają usta i utrzymują ząbki w perłowej białości. Wyborny pomysł okazywał się bardzo zyskowym, lecz udzielony kredyt wyczerpał fundusze i poczciwy p. Neuman musiał zbankrutować przy mnóstwie zamówień i mnóstwie odbiorców. Główną przyczyną katastrofy była oczywiście nieznamość stosunków i łatwówierność. Ale myśl podjęta nie zaginęła. Jakiś polski żydek wprowadził ją na nowo w życie, wyrabia papierosy z Kościuszką i Pułaskim, z napisami i godłami polskimi obok amerykańskich i jest na najlepszej drodze do zrobienia grubych milionów.

Pomysł p. Neumana przypomina mi inny przykład, w jaki sposób nasi próbują niekiedy szczęścia w Ameryce. Przekazny ks. M., emigrant, osiadł na świeżej parafii, w której nie było kościoła ani szkoły. Nabożeństwa odbywały się w drewnianej szopie. Co zrobić, aby wybudować kościół i szkołę i uwolnić od tego ciężaru parafią, która w zwykłym rzeczy porządku własnym nakładem obie te instytucye buduje

i utrzymuje. Założył ogromne kurniki i zamyslił przy pomocy sprzedaży jaj i hodowania rasowych kur dojść do potrzebnego funduszu. I tu fatum stanęło w drodze. Przewacny proboszcz zbankrutował, a parafia znalazła się w dawnym położeniu. Ksiądz, o którym opowiadam, próbował potem kolonizować stan Utah, lecz i tu zawiodło przeznaczenie. Na nie bowiem należałoby zrzucić winę niepowodzenia, gdyż dostatecznym całkiem przygotowaniom brakło jedynie szczęścia. Zrażony klęskami księżulek porzucił kurniki i kolonizacyą i osiadł na skromnem probostwie w Kanadzie, gdzie służy jak najlepiej opuszczonym rodakom.

Ale wracając do *»Dziennika«*, dowiedziałem się, że ma około 15.000 abonentów. Liczba pokaźna, jeśli się zważy, że Chicago ma jeszcze kilka stałych tygodników, a podczas wyborów wydaje kilkanaście pism więcej. Kościołów polskich posiada Chicago dwanaście, niektóre z nich są poprostu wspaniałe i należą bezprzecznie do najpiękniejszych w mieście. Wszystkie prawie leżą w polskich dzielnicach, które nazywają się: Stanisławowo, Jadwigowo, Kazimierzowo, Wojciechowo itd. Na Wojciechowie rezyduje biskup niezależnych ks. Kozłowski. Jest tu także parafia ewangelików polskich. Prym w duchowieństwie dźmierzą tutaj Zmartwychwstańcy, których prowincyał, zmarły przed kilku miesiącami ks. Barzyński, był prawdziwym samodzierżcą. Podobno cały kościół niezależny ma być dziełem niezadowolonych z sprężystego i despotycznego rządu wpływowych Ojców. Jakiegokolwiek byłyby ich winy, nie można przecież odmówić im zasług. Energiczne kierownictwo bywa często dobrem, a utrzymywane przez Ojców gimnazjum polskie w Chicago

pozwała sądzić o dobrych ich chęciach. Gimnazjum jest utrakwistyczne: polsko-angielskie. Nauczycielem języka polskiego jest znany i w Europie ze skromnych prac literackich, a najzdolniejszy tu poeta, p. Zahajkiewicz. Niezłe są jego wierszyki patryotyczne, które drukuje „*Dziennik*”. Nie miałem szczęścia poznać osobiście p. Zahajkiewicza, gdyż właśnie był wyjechał na odpoczynek wakacyjny, lecz dowiedziałem się, że przy nim także skupiają się nasze siły literackie. Robota to ostatnich czasów i pragnąc wolno, aby wydała jak najobfitszy plon na tej egzotycznej niwie. Do dzisiaj dorobek nasz literacki w Ameryce jest bardzo skromny. Książki do modlenia, podręczniki do nauki elementarnej, kilka słowników i kilka powiastek dla ludu — oto prawie wszystko. Resztę stanowią przedruki, dziennikarstwo i nadzwyczaj mnogie paszkwile. Co do ostatnich pożądanem byłoby, aby ktoś zdołał je zebrać i ułożyć systematycznie, a byłaby to nieoceniona lektura w przystępach nudów i złego humoru. Oczywiście nie trzebaby być nazbyt wybrednym pod względem artystycznym.

Nadszedł wreszcie ks. Gordon, nie stary jeszcze i nader sympatyczny mężczyzna. Po zwykłych ob-
rządkach poznania powiódł mnie do klasztoru, gdzie właśnie licznie zebrani Ojcowie bawili się poobiednią gawędką. Było dużo obcych, więc rozmowę prowadzono we wszelakich językach, a w chwilach trudnych, gdy ciężko było się porozumieć, przychodził z pomocą jeden z wielojęzycznych Ojców, gospodarz zakonu. Wypalono obfitą ilość tytoniu i nagadano się do syta, gdy ks. Gordon zaproponował mi, o co go prosiłem, przejażdżkę w celu zwiedzenia osobliwości. Przez chwilę zostałem sam na sam z również przyjezdnym księdzem ze Syrii. Jechał do Meksyku

na misye do swoich. Jako ksiądz obrządku wschodniego nie znał języka Rzymian, a ponieważ prócz tego nie znał także żadnego z języków, mnie znanych, wyjąwszy nieco francuszczyzny, więc pogadanka nie była łatwą. Mimo to dowiedzieliśmy się wzajemnie, o co nam chodziło, a dalszy ciąg ciekawej w swoim rodzaju rozmowy przerwał ks. Gordon, ubrany już do wycieczki. Wybraliśmy się dość niefortunnie, ponieważ była już 2. południu, do Stokjardów. Przypominają sobie czytelnicy, że jeszcze w początkach nazwałem Chicago Porcopolis czyli miastem świń. Niezaszczytną tę nazwę zawdzięcza miastu owym właśnie stokjardom. Są to potworne rzeźnie, które zajmują obszar sporego miasta. Około 20.000 sztuk wszelakiej zwierzyny pada codziennie ofiarą głodnych żołądków drapieżnego człowieka. Samych świń zabija się codziennie przeszło 12.000. Nie posądzajcie mnie, czytelnicy, o przesadę, gdyż zgodność z prawdą mógłby potwierdzić włoski książę krwi, który w tym samym tygodniu zwiedzał owe pobożowisko zwierząt.

Proszę sobie wystawić ogromny czworobok, którego krańców nie widać. Środek zajmuje główna droga, a w samym centrum mieszczą się rzeźnie i wszelakiego rodzaju potrzebne do tego budynki. Osobna policja, straż ogniowa, poczta, telegraf, telefon, wodociągi, urządzenie elektryczne, linia kolejowa itd. tworzą całość, zupełnie w sobie zamkniętą. Cała niezmierna wolna przestrzeń podzielona jest na mniejsze czworoboki, zawierające przeciętnie po 500 m². Większa ich część jest nakryta. Między czworobokami biegną symetrycznie drogi, a prócz tego górą prowadzą obszerne krużganki drewniane, wzdłuż i wszerz całej przestrzeni. Ujście ich prowadzi

do rzeźni. Czworoboki zapełnione są bydłem, nierogacizną, drobiem i wszelkimi innemi ofiarami, przeznaczonemi na rzeź. Tłustsze sztuki obozują tuż przy rzeźni, jako przygotowane na nieunikniony koniec, chudsze dopasają się w dalszych czworobokach. O ósmej rano rozpoczyna się robota i trwa do szóstej wieczorem. Dozorcy na koniach, uzbrojeni w długie dzidy, pędzą bydło z czworoboków na krążanki. Operacya ta odbywa się do późna popołudniu, a przechadzka przez krążanek jest dla zwierząt ostatnią w życiu. W stokjardach nabierałem ochoty do wegetaryanizmu, w której utwierdzało mię wszystko, co dalej oglądałem, a ustaniu krwiożerczych popędów zapobiegła smutna konieczność, czy też niepoprawna natura ludzka.

Ofiary giną tak prędko, że rozebrane już na kawalki mogłyby jeszcze myśleć, gdyby umiały, jakim się to stało sposobem. Świni zarzuca robotnik pętlę na nogi, a czyni to z niezwykłą zręcznością. Maszynerya podnosi się w górę, a drugi robotnik, właściwy rzeźnik, uderza nożem zawsze w to samo miejsce. Obryzganý jest cały krwią i zionie wstrętne świeżą posoką. Podobno otrzymuje za to wielką zapłatę, gdyż nerwy pozwalają tylko nielicznym na krwawe to rzemiosło. Maszyna unosi dalej pokwikującą świnię i rzuca ją w koryto z wrzącą wodą. Następnie posuwa ją do skrobalni, skąd wychodzi już z grubsza oskrobana. Dzieje się to wszystko w niezmiernie krótkim przeciągu czasu. Tu znowu oczekują ludzie i doskrobują nogi i uszy. Maszyna posuwa ciągle ją dalej. Następni robotnicy rozrzynają brzuch, dobywają wnętrzności, rozdzielają je osobno. Każdy odrębnie wykonuje część pracy, a jest jej tak wiele, że niema nawet czasu splunąć lub zapalić papierosa.

Wszystkie zabite świnie tegoż dnia są najzupełniej rozebrane, kielbasy i inne specjały porobione, nawet kopytka warzą się na klej. Powiadają żartem robotnicy, że tylko kwik zabitej świni nie jest obrócony na nic pożytecznego. Tegoż dnia kolej żelazna wywozi mięso i słoninę do wszystkich miast w Ameryce, którym tego potrzeba i do portów, skąd wędruje dalej do Europy. Nieco mozolniejszą jest robota z wołami, lecz niema trudności, którejby Amerykanin nie zdołał sobie ułatwić. Kilo najlepszego mięsa kosztuje potem w największem nawet mieście 20 ct. austriackich, więc nie dziw, że transportowane do Europy, a nawet oclone, może śmiało konkurować z europejskimi wytworami mięsny mi.

Jeżeli zwiedzanie stokjardów sprowadza najprzykrzejszą obmierźłość, każe przecież zdumiewać się nad podziałem pracy i wyzyskaniem maszyny. Ta ostatnia umiejętność robi Amerykę niedościgłą na polu ekonomicznem, a wszystkim jej mieszkańcom pozwala korzystać z wszystkich wynalazków w dziedzinie przemysłu i komunikacyi. To, że tak powiem, uspołecznienie przemysłu prowadzi do tego, że najdalsze zakątki Ameryki posiadają koleje, tramwaje i oświetlenie elektryczne, wodociągi, dzienniki własne, bogactwo i samorząd własny. Każdy Amerykanin żyje na szerokim świecie, bo do każdego zakątka dotarła wszechmożna kultura materyalna. Nawet najprostszy robotnik ma u siebie w domu oświetlenie elektryczne, wodociąg i wannę, w której z łatwością zażywać może codziennie kąpieli zimnej lub ciepłej, bo i ciepłej wody dostarczają wodociągi. Za bezcen może sobie zamówić ogrzewanie i kuchnię parową. Mógłbym szeroko jeszcze rozwodzić się na ten temat, lecz dość powiedzieć, że niema miasta w Europie,

któreby pod względem udogodnień mogło współzawodniczyć z najskromniejszą bodaj dzielnicą naszych emigrantów.

A jakaż wielka przyszłość się otwiera! Amerykanin nie zna hamulca. Oto np. przedsiębiorstwo jakieś postanawia założyć nową fabrykę, a przy niej nową stworzyć kolonią, za lat dwadzieścia krociowe może miasto. Kupuje ziemię, dzieli ją na dzielnice i ulice i wysyła agentów w świat po ludzi. Niema tam jeszcze stałych mieszkańców, a obręb zakupiony kanalizują już robotnicy, budują domy i zaprowadzają wszelkie udogodnienia. Niejeden zbankrutuje, lecz nie odstrasza to innych. Jak grzyby po deszczu rosną miasta, zaludniają się wielkie przestrzenie, krystalizuje się coraz wyraźniej nieobliczalna jeszcze w przyszłości potęga młodej rzeczypospolitej Stanów Zjednoczonych. Z dumą spoglądać może Amerykanin na zabagnioną przesadami Europę i czekać spokojnie na bliską godzinę wszechstronnej rywalizacji.

Ks. Gordon był nad wyraz uprzejmy, gdyż na drugi dzień powiódł mię na miejsce sławnej wystawy chicagowskiej. Z niezliczonych budowli i pawilonów pozostało ledwie kilka. Między nimi budynek w stylu maurytańskim, obrócony dzisiaj na gospodę i olbrzymi pałac sztuki. Podobnie jak w Milwaukee i ten także jest wspaniałym darem nababa, ofiarowanym miastu. Ma wygląd świątyni greckiej, a jest tak wielkim, że zająłby z pewnością całą przestrzeń Akropolu. Wnętrze jednak nierównie jest ciekawsze, niż wygląd zewnętrzny. Przedewszystkiem bogata sala, poświęcona pamiątkom po Kolumbie. Tworzy ona sama w sobie muzeum, godne widzenia. Niesłychanie bogatym jest dział etnograficzny. Zebrano tam mnóstwo rzeczy indyjskich, od chat i najdrobiazgowszych

szczętków ubioru do mumii i świątyń. Każde plemię ma osobną salę. Jeśli Amerykanie nie poszanowali żywych, pozbiali przynajmniej wszystko po umarłych. Pomieszczone są tu także zbiory po Murzynach i innych dzikich plemionach. Uczony mógłby na podstawie tych zbiorów napisać najobszerniejsze dzieło o wygasłym prawie plemieniu tubylców, a kreśląc obraz jego kultury, znalazłby obfity materiał porównawczy. Przepyszne są również wykopaliska. Jakieś płazy i żółwie, przewyższające wielkością mamuty, wszelkie skały pierwotne i inne znakomite zbiory, objaśnione opisem i rysunkami, z zakresu geologii. Olśniewający pięknością zbiór kryształów i drogich kamieni. Pomysły narzędzi do pływania i narzędzia same od łódek wyłobionych w drzewie, do statków żaglowych i parowców. Wozy różnych plemion, ich rozwój i udoskonalenia aż do dzisiejszych samochodów. Bogaty zbiór numizmatyczny. Najskromniej uposażone jest malarstwo i rzeźba. Pół dnia zaledwie wystarcza, aby przejść wszystkie sale, zabawiając w każdej ledwie przez chwilę. Zręcznie umieszczone baryery pozwalają kierować się w labiryncie, w którym prostacek nasyci oko, a człowiek wykształcony może czynić poważne i głębokie studia. Tak bogatego zbioru, w tym rodzaju, nie wiem, czy można oglądać gdziekolwiek indziej na świecie. Prawda i to, że gdziekolwiek indziej niepodobieństwem byłoby zebrać te właśnie dzieła i pamiątki.

Z powrotem głowa mogła zboleć od oglądania nowych znowu, a niewidzianych dotychczas na tę skalę fabryk, budowli, mostów itd. Mostów jest mnogość wielka, a to dlatego, że kanał wrzyna się w miasto i przecina całe szeregi ulic. Wszystkie

mosty są ruchome i podczas przejazdu statków rozchylają się na środek, tworząc wolne miejsce. Poruszają się siłą elektryczną, i niektóre z nich, zwłaszcza większe, podnoszą się do góry. Nadjechaliśmy w stronę ratusza. I znowu olbrzymi gmach, zbudowany podobno kosztem 15, czy nawet więcej milionów dolarów. Dość powiedzieć, że ogromne kolumny składają się z gładko obrobionych i szczelnie na sobie położonych głazów granitowych. Ksiądz opowiedział mi interesującą historyjkę, związaną z ratuszem.

Przed kilkudziesięciu laty było jeszcze Chicago puste i mało zaludnione. Emigrant jakiś przejeżdżał wtedy w drodze do dalekiej kolonii, w której zamysłał się osiedlić. Niewiele miał przy sobie pieniędzy, a jednak pokusy bywają wielkie i pozbawiają człowieka nawet drobnostki. Zazwyczaj są to złe pokusy, lecz dla emigranta okazały się najpomyślniejszem w świecie zdarzeniem. Zaczepił go agent od sprzedaży ziemi, wyłudził prawie cały zapas gotówki i oddał nieborakowi potrzebne papiery, czyniące go właścicielem całego czworoboku ziemi w Chicago. Minęły lata. Emigrant orał swą rolę spokojnie na farmie, a tymczasem Chicago rosło i rosło, aż urosło. Na zakupionej przez niego ziemi wybudowało miasto ów ogromny ratusz, mniemając zapewne, że właściciela nie ma, lub gdzieś zaginął, a więc ziemia jest własnością miasta. Pracowity farmer, zaciekawiony opowiadaniem o niezwykłym wzroście Chicago, postanowił nakoniec wybrać się w podróż, aby swe parcele korzystnie sprzedać. Po niedługich poszukiwaniach przekonał się, że są już zabudowane. Zwraca się tedy do majora miasta z oświadczeniem, aby usunięto ratusz z jego posiadłości albo zapłacono mu taką a taką sumę. Pokazał dokumenty, które jak

najściślej potwierdzały jego prawa i żądania. I stało się, co było zupełnie naturalnem, że zarząd miasta wypłacił żadaną sumę, która wynosiła około milion dolarów. Szczęśliwy farmer mógł patrzeć z otuchą w najdłuższe lata starości, a miasto nie kłopotalo się o ewentualne przesunięcie budynku.

Jeżeli mówię o przesunięciu, czynię to dlatego, że drobnostka taka, jak przeniesienie kilkopiętrowej budowli nie należy bynajmniej do niezwykłych zjawisk. Nie umiem na nieszczęście opisać sposobu, w jaki się to czyni, lecz na własne oczy widziałem w Baltimore budynek, przenoszony na wielką odległość. Robotę tę ułatwia zapewne amerykański sposób stawiania wielkich budowli. Jako fundament wbija się w ziemię ogromne słupy dębowe, jak u nas przy budowie mostów, a na to zakłada się potworny szkielet żelazny; gdzie potrzeba ścian, wsuwa się cegły, a w miejscach na sklepy ogromne tablice szklane i to nierzadko do wysokości kilku pięter. W mniejszych domach na ściany używa się blachy, w cios pomalowanej, a zwyczajne domki buduje się z deszczulek drewnianych, układa się dwie cienkie ściany, a w środek wsypuje się wiory, papier, pakuły i inne tym podobne trwałe materiały. Są to poprostu zabawki, z którymi np. ogień nie miałby ani odrobiny kłopotu. Trwałe, fundamentalne domy budują tylko bogacze i to nie zawsze, lecz zawsze tak tylko stawia się budynki publiczne. To także tłumaczy nam, dlaczego w Ameryce w przeciągu dwóch dni można wznieść kilkopiętrowe domostwo. Materiał jest niesłychanie prosty, a sama budowa ogranicza się na składaniu gotowych już części. Drzwi do takich budowli przywożono niedawno jeszcze przez Ocean spokojny z Japonii, lecz wysokie cło, nałożone na

ten osobliwy wywóz, udaremniło dalszą konkurencją.

Bawiąc w wielkiem mieście, niepodobna nie wstąpić do teatru. Ach! Przebóg! Dwudziesty szósty lipca minął niepowrotnie. Nie dotrzymałem obietnicy i naraziłem mężczyzn stałego łądu na posądzenie o niesłowność. Przepadło, a jako jedyna pociecha pozostać może przypuszczenie, że i bladolica skrewiła. Gdyby tak było, zakończyłaby się najharmonijniej w świecie przelotna znajomość okrętowa, zostawiając miłe wspomnienie i niedokończony epilog.

Sztuka odgrywana. której tytułu i treści nie pamiętam już dokładnie, nie wywarła na mnie dodatniego wrażenia. Było wszystko amerykańskie: boksowanie, strzelanie z rewolwerów, nadzwyczajne przygody i szczęśliwa para zmyślnych kochanków, lecz nic więcej. Przypuszczam, że od czasu do czasu odgrywają rzeczy lepsze, gdyż inaczej należałoby być pesymistą wobec sceny nowego świata. Na sąd ujemny podczas przedstawienia wpływała może nieopuszczająca mnie myśl o niedotrzymaniu słowa. Najharmoniczniejsza rzecz bez epilogu pozostawia jakieś utrapienie wewnętrzne, które tylko wtedy mogłoby zniknąć, gdyby w krótkim życiu na szerokim świecie sprawdziło się stare przysłowie: góra z górą nie zejdzie się, lecz spotka się człowiek z człowiekiem. Wolę więc zamilczeć o teatrze, który stał się dla mnie w Ameryce podwójnie przykrym, a uczucia z nim związane zamykam na poczwórne kłódki w zapiskach mego serca. Szczerem być nie mogę, a żartować nie chcę.

Z tysiąca wrażeń, odebranych w Chicago, przypomnę jeszcze dwa: *salvation army**) i *fair* w pol-

*) Armia zbawienia.

skiej dzielnicy. *Salvation army* zyskała mnóstwo zwolenników na ziemi Ameryki i prawie niepodobna nie potknąć się o nią przynajmniej dwa razy w tygodniu. Trzeba naturalnie mieszkać w większym mieście. Dziwaczna sekta, kierowana despotycznym kaprysem angielskiego nababa, spełnia podobno wiele rzeczy humanitarnych, mimo cudacko komunistycznego ustroju i bardziej jeszcze cudackich występów. Zasila niezajętych robotników, opiekuje się kalekami, a chociaż nie uznaje Sakramentu małżeństwa, wyrывa wiele dziewcząt z odmetu upodlenia. Obojętnym widzom nastrocza sposobność do wesołej krotochwili albo też do poważnych myśli społecznych. Zależy to, jak się zdaje, od wewnętrznego usposobienia w danej chwili. Dźwięk muzyki i podniesione w górę sztandary: w Ameryce krajowej i międzynarodówki, zapowiadają pochód osobliwych bojowników. Mężczyźni noszą strój czerwono-niebieski, kobiety niebieski, a głowę zdobi im wąska czerwona przepaska. Zatrzymują się na jakimś miejscu i rozpoczyna się dziwaczne przedstawienie, czy też jedyne w swoim rodzaju nabożeństwo, składające się naprzemian z mów i muzyki. Grupa żołnierzy tworzy koło, w środku umieszczają bęben. Dokoła zbiera się gromada ciekawych i gapiów. Po każdym punkcie programu wzywa jedna z kobiet do składki. Jedni z śmiechem, inni z powagą, rzucają po kilka groszy. Mowy natchnione są jakimś osobliwym mistycyzmem, pomieszanym z trzeźwą naturą amerykańską. Słowa: Bóg, miłość bliźniego, powtarzają się co chwila. Nabożeństwo nastroiło mnie z początku na ton niezwykle wesoły, później spoważniałem i zacząłem się zapuszczać w skryte tajniki serca ludzkiego, któremu potrzeba jakiejś wiary i jakiegoś ideału społecznego.

Wyborny temat do sporu o dobrą czy złą naturę człowieka. Wszystkie przemówienia wzywają obecnych do zaciągnięcia się w szeregi i zdarza się nierzadko, że kilku nowicyuszów przyłącza się do orszaku. Na tem miejscu muszę zaznaczyć, że najmniej ludzi niewierzących spotkałem w Ameryce, lecz nigdzie też nie spotkałem tyle wiar i sekt najrozmaitszego rodzaju. Samo Chicago posiada z górą tysiąc przybytków do nabożeństwa i to począwszy od najwspanialszych kościołów do lokali szynkarnianych. I w tych bowiem odbywają się kazania przygodnych proroków. Równocześnie jednak charakterystycznym jest objaw, że w ogólności panuje uprzedzenie do katolicyzmu, który występuje jako wiara zdogmatyzowana, karna i posłuszna i dlatego może niedogodną się wydaje wolnemu rządowi. Opowiadano mi, — za prawdę nie ręczę, — że podczas ostatniej wojny powołano do obozu kaznodziei wszelkich wyznań, z wyjątkiem kapłanów katolickich. Gdy biskupi upomnieli się o to, rząd miał odpowiedzieć, że jeśli chcą, mogą wysłać duchownych na własne kosztą. Nie można oczywiście mówić o jakimś upośledzeniu katolików, gdyż religia jest w Ameryce rzeczą najzupełniej prywatną, która o tyle tylko wchodzi w zasadnicze ustawy rzeczypospolitej, że nie wolno o niej mówić w parlamencie, a rząd na pozór nie miesza się w sferę wyznań. Nie dzieje się to w rzeczywistości i to właśnie jest jedną z ciemniejszych stron w Ameryce, do których jeszcze powrócę w mojem opowiadaniu.

Fair widziałem w dzielnicy polskiej na Jadwigowie. Gościnny proboszcz Jadwigowa chciał mię zapoznać z tego rodzaju uroczystościami i jestem mu za to serdecznie wdzięcznym. Można by je nazwać

zabawami ludowemi. Dochód przeznaczają się zwykle na budowę szkoły, kościoła, potrzeby parafialne albo na jakiś cel dobroczynny. Program zabawy bywa bardzo urozmaicony, a o dochodzie rozstrzyga między innemi także ilość wypitych napojów. I to właśnie jest konik, na którym jeżdżą niezależni, którzy czynią zresztą tak samo, a równocześnie nazywają przeciwników faryzeuszami i bezbożnikami, ponieważ złą drogą dochodzą do dobrego celu, a przytem narażają ludność na zbyt znaczne wydatki. Na pierwszy rzut oka widać w rozumowaniu przesadę. Ludzie bawią się i lubią się bawić na całym globie ziemskim i jeśli nie czyniliby tego na fairze, znaleźliby niezawodnie gospodę. Złem mogłoby być tylko nadużycie, gdyby rzeczywiście zachodziło, o czem jednak nie mogłem się naprawdę przekonać. Byłem szczęśliwym, że uczestniczyłem w fairze jako gość z Europy i poznałem pokolenie całej jednej dzielnicy. Miło mi było słyszeć dzieciaki, krzyczące po polsku, miło napawać się ojczystą nutą pieśni, które wykonywał dobrany chór dziewic. Drażniła mnie angielszczyzna, której także nie brakło, lecz ostatecznie musiałem czuć się zadowolonym, ponieważ zobaczyłem na oczy, że i dziatwa malutka uczy się i rozumie po polsku. Lepszy więc fair, niż międzynarodowa, a raczej angielska knajpa.

Byłbym niewyczerpanym, gdybym chciał przedłużyć opowiadanie o wrażeniach z Chicago. Pomijam więc miłą wizytę u litewskiego proboszcza, którego ujęła u mnie Polaka znajomość jego mowy ojczystej. Wstąpię tylko na chwilę z cierpliwymi czytelnikami do gospody polskiego salunisty, w której ubikacjach mieścił się także lokal jednego ze stowarzyszeń narodowych. Na wieść o tak dalekim gościu zebrała

się spora kupka swoich. Bohaterowie polscy patrzyli na nas z ram obrazów, a my gwarzyliśmy po naszymu, zapijając najlepsze specyały. Zebrani byli prawie wszyscy ludźmi pracy, a jednakże ileż pięknego poczucia, ileż miłości do swojego znalazłem w ich duszach. Jakiż to znakomity materyał do celów narodowych, gdyby prócz poczucia posiadał jeszcze zupełne uświadomienie i niezależny byt! Generacya następna będzie inną, lecz niepodobieństwem jest, aby te iskry szlachetne zgasły bez śladu. Tak! Choć sceptycyzm straszną jest chorobą, a jednak widząc to, wolno wierzyć i musi się wierzyć. Tylko pracy ofiarnej i wiary niezłomnej w kilku bodaj wybitnych jednostkach, a w ogóle podsycania tego silnego żnacza! — Sejmy polskie, które zbierają się od czasu do czasu w Ameryce, mają niezmiernie znaczenie ze względu na wyraz wspólnego poczucia i w sedno prawdziwie skierowanej organizacyi. Mają jednak wielkie także wady. Najgłówniejszą jest ta, że wydaje się, jakoby zbierały się dla poklasku gazet i zrobienia wrażenia. Uchwalają wspaniałe rezolucye, aby ich w czyn nie wprowadzać. Taką rezolucyą była poruszana już dawno myśl założenia własnego seminaryum nauczycielskiego. Dzieło łatwe nie doszło do skutku do dziś dnia, a chociaż być może odgrywały w tem rolę walki partyjne, jednakże wina spada na sejm. Rady bez czynów są głosem wołającego na puszczy i zniechęcają często ludzi najlepszej woli. Z drugiej strony trudno żądać, aby odrazu stworzono Arkadyą, a czyny wyskakiwały jak Minerva z głowy Jowisza. Ta jedna okoliczność łagodzi niedostateczne oddziaływanie sejmów i każe się spodziewać, że przyszłość będzie lepszą.

*

*

*

Kalejdoskop odczuwań umieścił mię napowrót w cichej plebanii wuja, gdzie pędziłem jakiś czas w słodkiem próżniactwie, godnem żywota włóczęgi. Z poblizkiego Milwaukee przybywali często znajomi na pogadankę i na świeże powietrze. Zasiadaliśmy wówczas przed domem, albo rozkładaliśmy się na miękkim trawniku i prawiliśmy o wszystkich rzeczach i niektórych innych. Nieraz przychodziło do zaciętej polemiki, której bohaterem bywał zazwyczaj Górnoślązak ks. Skulik, wielki ideolog i przezacny człowiek, a mój najtroskliwszy opiekun w Milwaukee. Słońce doskwierało z całą zapamiętałością, więc chłodny napój łagodził dotkliwe pragnienie, a rozpalał wyobraźnię. W wybuchach dyskusyi podsuwałem zacietrzewionemu mowcy czarę z winem, dodając słodką przymówkę:

*Non ille, quamquam Socraticis madet
Sermonibus, te neglegit horridus.
Narratur et prisci Catonis
Saepe mero incaluisse virtus.*

Ksiądz uśmiechał się i rozmowa szła dalej, spokojna, rozkoszna i miła w wspomnieniu, jak przesniony sen nocy letniej.

Sąsiedztwo wuja tworzyło prawdziwą mozaikę. Opodał mieszkał Niemiec, ożeniony z Szwedką, dalej Norweg z Ajryską, nie brakło i innych narodowości. Gościa witali wszyscy uprzejmie i nie chcieli wierzyć, że zamyśla znów wrócić do Europy. Przecież i oni mają tam ojczyzny i kochają je bardzo, lecz i w Ameryce można kochać dawną ojczyznę i dla niej pracować, a natomiast wygodniej tu żyć i korzystać z wielkich swobód wolnego narodu.

Wolność amerykańska jest istotnie niedoścignioną. Dzisiaj nie wszyscy jeszcze rozumieją jej

znaczenie, lecz w przyszłości stanie się ona bezwątpienia źródłem, które utworzy nie słoneczne zapewne państwo Campanelli, lecz wzorową rzeczpospolitą, najlepszą, do jakiej doszła kiedykolwiek cywilizacja i kultura. Ameryka nie zna stolicy monarszej, nie zna przymusowej służby wojskowej i rządów biurokratycznych, nie zna przywilejów, związanych z urodzeniem. Jesliby kto zapatrywał się na wolność z socjalistycznego punktu widzenia, znalazłby w ustawach tamtejszych jedyną niekonsekwencją, a to dziedzictwo majątku, które sprowadza nierówności, i w kraju wolnego przemysłu tworzy plutokratów i robotników. Wspomniałem, czego nie zna wolność amerykańska, nie można nie wspomnieć, co zna i czy słusznie szczyli się sławną dewizą: »tryumfująca w pokoju, niezwyciężona w wojnie«^{*)} choć nie doprowadziła jeszcze do drugiej wymarzonej zasady: »one tongue, one purpose«^{**)}. W ten sposób jaskrawiej wystąpi różnica, dzieląca świat nowy i stary.

Istnieje w Ameryce powszechne prawo wyborcze, to znaczy, że każdy pełnoletni Amerykanin staje się najściślej równym wobec prawa. Głos milionera i chudopachółka jest przy wszelakiego rodzaju wyborach zupełnie równorzędnym. Równouprawnienie wyborcze ma swoje niesłychane znaczenie, gdyż zaręcza za najdłuższą wolność obywateli. Nie można przecież przypuścić, aby złe objawy wzrosły kiedykolwiek w taką siłę, któraby się stała groźną dla wolności. Instynkt dobra osobistego ostrzeże masę o każdym niebezpieczeństwie, a głos powszechny obwieści wyrok. Śmiałowie ulegliby z pewnością prawu lynchu. Lecz jak pogodzić z tą pewnością

*) *Triumphant in peace, invincible in war.*

**) Jeden język, jeden cel.

niesłychane przekupstwo podczas wyborów, które nie zna sobie równego? Sądzę, że w znacznej mierze ścisłym obrachunkiem Amerykanina, który nie gardzi lekko zarobionym groszem, a wydanym przez głupców. Gdyby wybory miały w czemkolwiek zagrozić prawom obywatelskim, ustałoby przekupstwo, lecz przypuścić nawet niepodobna, aby znaleźli się naiwni ludzie, którzyby z tą dźwignią rzeczypospolitej zechcieli walczyć.

Nieograniczona wolność druku jest drugim walnym przywilejem i nieocenioną rękojmią trwałości swobód obywatelskich. Amerykanin nie wie, co to cenzor lub prokurator. Wobec tego najswobodniej rozwija się krytyka społeczna, gdyż niemasz władzy ani instytucyi, na którą nie wolno się targnąć. Niesłuszne zarzuty pokutują przed sądem, słuszne stają się własnością opinii publicznej. Wprawdzie i powaga sądu cofa się nieraz przed przekupstwem lub naciskiem stronnictwa, lecz w sprawach ważniejszych niebaczenie igrałby ktokolwiek z opinią publiczną. Z wolnością druku wiąże się oczywiście kolportaż i agitacya w najszerszem tych słów znaczeniu. Ta potęga dziennikarstwa wystarczy najzupełniej, aby zmiażdżyć najwpływowwsze osobistości, usunąć prezydenta i cały nawet senat waszyngtoński. I znowu nie podobna przypuścić, aby całe dziennikarstwo ulec mogło wpływom reakcyi i zagrozić wolności praw obywatelskich.

Posiada także Ameryka zupełną wolność nauczania i wyznania. Istnieje wprawdzie przymus szkolny, lecz nie wiem, czy wolno tak nazywać obowiązek kształcenia dzieci w rzeczach, obywatelowi koniecznie potrzebnych. Szkoły publiczne nie krępują nikogo, wolno zakładać prywatne w dowolnej liczbie

i uczyć w nich, cokolwiek się podoba, byleby zapoznać młodzież z programową gałęzią nauki obywatelskiej. Państwo domaga się jedynie, aby każdy uczęszczał do szkoły i dlatego podzieliło całe Stany na okręgi. W każdym okręgu powinna być szkoła. Zdarza się, że taki okręg jest jeszcze bezludny. Ale jeżeli osiedzie tam bodaj jedna rodzina, która ma dzieci w wieku szkolnym, musi powstać szkoła, a nauczycielem zostaje nieraz sam ojciec rodziny i pobiera wyznaczoną płacę.

Wolność religijna prowadzi często do śmieszności, tworząc tysiące wyznań. Nikt im nie przeszkadza, nawet mormonom, lecz nikt także nie pomaga. Świątynie i duchownych opłacają wyznawcy z własnych funduszków. Nie wolno zakładać jakichś wieczystych i nienaruszalnych parafii i dyecezyi. Każdy kościół musi być własnością osoby żyjącej, u katolików bywa nią biskup dyecezalny. I to także stało się główną przyczyną rozrostu naszych niezależnych. Można przypuścić, że nieuczciwy dostojnik kościelny wyprzeda wszystko mienie całej dyecezyi, a wtedy wierni znajdą się bez świątyń i funduszków, na które wspólnie się złożyli. Ponieważ biskupami są obcy, a nie nasi, więc rozsiewanie tych wieści znajduje powolny posłuch u łatwowiernych lub u zanadto przebiegłych. Chcą więc swoich biskupów, obieranych przez siebie, a własność kościelna ma pozostawać w ręku komitetów, których prezes byłby przedstawicielem wobec rządu. Rzym nie może się na to zgodzić i oto gotowy powód do rozłamu, którego wzrostu nie można przewidzieć. O ile wywiedzieć się mogłem, niezależny Kozłowski zyskuje coraz więcej zwolenników, i pisze się biskupem polskim, z woli narodu wybranym.

Najsilniej zorganizowanym jest kościół katolicki, którego wyznawcy stanowią 13% ogólnej liczby obywateli Stanów. Z siłą organizacyi katolickiej można tylko porównać związek masoneryi, który jest także religią *sui generis*. To też obie te organizacje odgrywają już dzisiaj wielką rolę w czasie wyborów, a w przyszłości rozstrzygać będą niezawodnie o losie ustaw zasadniczych. Niektórzy wróżą przyszłość operetkowej *salvation army* i przewidują przypuszczalne połączenie się armii z organizacją robotniczą. Jest to absurd, do którego z pewnością nie postawiliby pierwszego kroku złączeni robotnicy. Nie potrzebuję dodawać, że rząd nie odznacza się bynajmniej sympatją do wyznania katolickiego, a wymownym tego dowodem jest wspomniany jego postępek z duchowieństwem katolickim podczas ostatniej wojny. Chociaż nie ręczę, czy opowiadanie jest wierne, w każdym razie nawet pogłoska tego rodzaju wielkie ma znaczenie.

Każdy obywatel obowiązany jest do obrony kraju, lecz tylko na wypadek rzeczywistej potrzeby. Nieliczne wojsko stałe składa się z dobrze płatnych ochotników. Wojsko to obozuje zazwyczaj przy terytoryach indyjskich, a przeciętny obywatel, mieszkający nawet w największym mieście, nie widzi nieraz przez całe życie ani jednego żołnierza. Ja tylko przypadkiem spostrzegłem kompanię, wracającą z wojny, lecz wyznać trzeba, że w niczem nie przypominała wyćwiczonych marynetek europejskich. Widać było, że to są obywatele, którzy wiedzą, o co się biją i dla kogo, którzy nie uznają wojen zaborczych, a łącząca ich karność związana jest z poczuciem własnej godności. Ostatnia wojna zdawałaby się zadawać kłam temu, co powiedziałem o nieuzna-

waniu wojen zaborczych. Przyznaję, że i na mnie ujemne zrobiła wrażenie, bo jedno i drugie jarzmo jest zarówno złe. Sprawiedliwość pozwala zrzucić jarzmo, lecz nie pozwala narzucać nowego. Tak też podobno się stało, choć stwierdzić tego nie można, nie będąc na miejscu. Gazety przedstawiły koniec sprawy bardzo chaotycznie. To był także ów niemiły akord, który mię uderzył na obchodzie zwycięstwa w Milwaukee.

Zasada wolnego przemysłu uznawana w Ameryce, jest równocześnie skopułem, o który kiedyś rozbijać się będzie dyskusja publiczna. Pojęcie wolności nie dopuszcza zasady monopolu państwowego, a jednak, kto wie, czy siła wypadków nie zmusi kiedyś do tego wolną rzeczpospolitą. Miliardy złota i armie robotnicze, skupione w ręku jednego obywatela, nie wydają się przecież przychylnemi dla wolności. Bardzo często idą te miliony na cele ofiarności publicznej, gdyż nauki wielkiego Franklina i nieśmiertelnego Waszyngtona zanadto przeniknęły pojęcia obywateli Stanów. Lecz tu idzie o zasadę. Czy lepiej będzie, jeśli osoby poszczególne zgarną miliony, czy też, jeśli je zgarnie rząd, wybrany z łona obywateli i obdzieli wszystkich równiejszą miarą. Nie mówię tu o jakimś rozdawaniu pieniędzy, lecz mam na myśli system gospodarczy. Czy pieniądz w ręku kliki nie stworzy z niej kasty, która zorganizuje rząd plutokratyczny, nie zmieniając nawet ustaw zasadniczych ani też nie ograniczając teoretycznie praw obywatelskich, lecz tylko kierując nimi po swojemu. Czy nie pokusi się, choć tego niepodobna przypuścić, o jakiś energiczny zamach stanu. Wolno także zapytać, czy robotnik, lubo nieźle uposażony, nie ujrzy kiedyś niesprawiedliwości w nierównym dochodzie i w nie-

równych potrzebach obywateli. Oto są zagadnienia, które nasuwają się, gdy jest mowa o nieograniczonej wolności przemysłu, a które muszą kiedyś rozwiązać obywatele Ameryki. Kwestya pierwszorzędno znaczenia, jeśli się zważy, że zasada monopolu ma nie tylko sprzeciwiać się pojęciu wolności, lecz nadto znajduje najgorętszych przeciwników w obozie nowszych ekonomistów. Powiadają, że powstrzymuje szybszy rozwój, gdyż działanie rządu słabszem jest zawsze i bardziej skomplikowanem, niż energia pomysłowości prywatnej. Zasada ta spełniła się na Ameryce. Ani czwartej części dzisiejszych kolonistów nie posiadałaby bez niej młoda rzeczpospolita; cóż dopiero mówić o rozpowszechnieniu i uspołecznieniu najnowszych odkryć i wynalazków?

Ujemnych rysów można jeszcze więcej naliczyć. Dość wspomnieć o manii małżeństw z gołymi rycerzami krwi, sprowadzanymi z Europy. Przesady wciskają się w prostoduszne społeczeństwo i przynoszą apetyt, stary wprawdzie, lecz zepsuty. Ostatnia wojna odbiła się również niekorzystnie. Junakierya, która pomnaża stałe wojsko i tworzy nowy stan społeczny, kuje broń na własną zgubę. Sądzę, że nie przyjdzie do tego niebezpieczeństwa, gdyż nowonałożone wysokie podatki odbiorą zapewne ochotę od najstrojniejszych mundurów. Zło nie zakorzeniło się jeszcze, powstał raczej zaród złego.

Jest jedna jeszcze ważna sprawa, której dotknąć należy. Stany Zjednoczone są ogromnem państwem, podzielonem na wielkie stany, z których każdy przewyższa objętością niejedno państwo europejskie. Stany oddzielne mają własny samorząd, bardzo rozwinięty i związane są jedynie zasadniczą konstytucją z rządem centralnym. Idzie o to, czy interesy różnych

stanów pójdą zawsze zgodnie z opinią Waszyngtonu i czy kiedyś nie przyjdzie do rozdarcia, jak się stało w czasie pamiętnej wojny domowej, która o mało nie rozbiła państwa wuja Sama na dwie części. Każdy człowiek lubi rządzić i według greckiej gadki woli być między pierwszymi w małym mieście, niż między ostatnimi w największym. Czy nie można przypuścić, że stany zechcą rządzić się najściślej niezależnie. Mniemam, że można, gdyż wolność i interes New-Yorku lub Waszyngtonu nie necessarily musi być jednoznacznym z San Francisco lub Chicago. Zarzewia nie braknie. Wystarczy różnolitość narodowa obywateli Stanów. Może się to wszystko zlać w aliaż typowy o różnych odcieniach narodowościowych i indywidualnych, lecz zlać się nie musi. Język urzędowy może stać się przykrym dla większości inno-narodowej jakiegoś stanu. Wszystko to są domysły, obliczone na daleką perspektywę, lecz nie wolne od cienia słuszności wobec postępującego ogólnego uświadamiania się i dzielenia pojęcia Amerykanów na dwie połowy: dobrego obywatela i dobrego członka swojej narodowości. Różnice religijne nie mogą także pozostać bez wpływu. Wtedy tylko możnaby uwierzyć w dokonaną jednolitość Stanów Zjednoczonych, gdyby przypuścić można, że nastąpi jednolitość społeczna, narodowa i religijna. Co do mnie, nie wierzę w jej spełnienie, gdyż musiałbym zapomnieć, że człowiek jest istotą myślącą, a musiałbym uwierzyć, że milionowe zbiorowiska zatracą poczucia narodowe i religijne. Nie dokaże tego żaden prawodawca ani żadna ustawa zasadnicza, gdyż są to sprawy ciche, domowe, które rozwijają się powoli i samoistnie, zdala od zgiełku i polityczno-społecznych obliczeń człowieka. A więc jest zarzewie do ognia i rozczyn do kwasu.

Daleko jednak do stawiania tych horoskopów. Dzisiaj obywatele Stanów za nadto jeszcze cieszą się szczęściem, aby mogli przypuszczać, iż wielkie Stany mogą się kiedyś rozpaść i stworzyć coś podobnego do państw europejskich. Powiedzieć: »podobnego« jest to wyrazić się eufemistycznie, gdyż Ameryka ani cała ani w rozdziale nie zazna nigdy potężnej reakcyi europejskiej. Niema do tego podstawy dziejowej, a kultura cofa się u tych tylko narodów, które blizkie są bankructwa moralnego i świeżych sił nie mają skąd czerpać, lub nie chcą tego czynić. Amerykanie pieszczą się jeszcze szczęściem, jak dzieci zabawką, a nie wszyscy zdają sobie sprawę z rzeczywistości posiadanej wolności, chociaż przerastają Europę o wieki. Tem wyjaśniam sobie pozorne obniżanie pojęć etycznych i wolnościowych, o których wspomniałem i nazwałem je zarodem złego. Ewolucya samego zła jest bardzo daleka i długo jeszcze będą się mogli obywatele Ameryki uważać za benjaminków Opatrzności. Przestrzenie niewyzyskanej ziemi i bogactwo jej płodów zapewniają im długi jeszcze rozwój, wzrost i potęgę. Najwcześniej mogą się wyłonić kolizye narodowościowe i religijne, lecz rozumny wzrok Amerykanina da im bezwątpienia odpływ, a wtedy w podzielonych nawet stanach na długo jeszcze zamieszka szczęście.

Europa traktuje Amerykę jak nieletnie dziecko i podgląda ją, w belletrystyce zwłaszcza, ze strony humorystycznej. Czyni niesłusznie i w tym wypadku humor Amerykanina o tyle jest lepszym, o ile lepszemi są humoreski Marka Twaina niż majaczenia bezmózgich dekadentów. Nic łatwiejszego niż będąc znudzonym włożyć na nos monokiel i patrzeć z wysokości niedołęztwa na rwące fale życia. Turyści

amerykańscy, oglądani w Europie, przedstawiają się nam jak osobliwe jakieś zwierzątka, lecz sąd to bardzo niesprawiedliwy. W odmienności obyczajów i form towarzyskich nie umiemy dopatrzeć się treści. Szydzymy, a przecież równocześnie imponują nam dolary. Moglibyśmy wiele od nich się nauczyć, a tymczasem lekceważamy zapał, który pędzi ich przez oceany, aby szukać u macierzy tych skarbów, których niegdyś kolonista sycylijski szukał w Atenach. My bowiem posiadamy jeszcze skarby te z przeszłości, lecz pamiętać trzeba, że po minionym wielkim okresie sztuka i myśl helleńska dostały się innym godniejszym spadkobiercom, pasierbom dziedzictwa. Czy spełni się przepowiednia, wróżona Ameryce, okaże przyszłość, lecz to jedno jest pewnem, że wielka córka Europy zasługuje na podziw i powinna być dumą dla rodaków, a nie bawidełkiem. Stara ziemia ma wielką przeszłość, nowa przyszłość. Cóż pomoże Europie ten liczny zastęp oświeconych ludzi, którzy stoją na wyżynie teoretycznych zdobyczy cywilizacji, lecz serca ich toczy robak zwątpienia lub gorszy jeszcze skażenia moralnego. Ameryka nie ma do dzisiaj takiego zastępu, lecz ma zapał, szczerść i miłość wolności. Znajdzie się zastęp, a myśli jego i uczucia oprą się na tych największych cnotach przyrodzonych, a wtedy — komuż oddać palmę pierwszeństwa.

Trudno rozszerzać się w podjętym temacie, jeśli opisuje się wspomnienia z krótkiej wycieczki. Byłoby to zadaniem nad siły i nazbyt wielką śmiałością. Nikt jednak za złe mi nie weźmie, że przypomniałem kilka myśli i wrażeń, które dusza w przelocie odczuła. Zaniechałem ściślejszej krytyki, pomiąłem rzeczy rażące lub tylko z lekka ich dotknąłem, gdyż nie godzi się wyliczać złe, gdzie znajdzie się więcej

dobrego. Zresztą złemu winni ludzie, a tacy ludzie wszędzie się znajdują. Jeszcze tylko w krótkości pomówię o swobodzie w życiu towarzyskiem, które obcy spotyka w Ameryce. Istnieją tam formy towarzyskie, stanowią nawet swój typ, a jest on jednym z najmiłszych, jakie się gdziekolwiek znachodzi. Gdzie jest życie rodzinne, tam musi być pewien obyczaj, a życie rodzinne jest właśnie bardzo miłą stroną Ameryki. Obserwując je miałem nieraz na myśli własną ojczyznę, dla której to życie było niegdyś najpiękniejszym pierwiastkiem, a dzisiaj jest jedyną świątynią szlachetnych pobudek, w której się krzepi serce niewolnika. Rodzina to nasza potęga, chociaż jesteśmy w niewoli, jakąż potęgą staje się u wolnego Amerykanina. Odczuwa się to tem więcej, jeśli się pomyśli, że ta rodzina wszystkich przyciąga, nikogo nie odpycha. Amerykanin czi każdego i od każdego wymaga czi. Pan domu jest na usługi i spełnia wszelkie życzenia.

Przybysza razi nieraz wytworna grzeczność a równocześnie pozostawienie zupełnej swobody. Niegrzecznym wydaje się gość mężczyzna, który rozkłada szeroko nogi lub opiera je na sąsiednim krześle, dziwić może grzeczny gospodarz, który najspokojniej w świecie odchodzi od gościa i zostawia go samego. Przyzwyczajenie odbywa się szybko, a wtedy na jaw występują zalety. Nie opowiadał tu o wysokich domach, w których przyjmuje się ceremoniał europejski, zmieniony nieco właściwą Amerykanom żywością, lecz uwzględniam średnią klasę, która stanowi rdzeń i siłę narodu. Kobiety są nadzwyczaj swobodne, klepanie mężczyzny po ramieniu przy pierwszym spotkaniu i przemawianie przez „ty” są na porządku dziennym, a jednak w tej kobiecie jest wielka godność

osobista. Gorzkie wyrzuty czyni sobie każdy, kto ujęty swobodą, zapomina o granicy przyzwoitości. Kobieta jest równą mężczyźnie, pracuje jak on na życie, a więc pójdzie choćby o północy sam na sam do kawiarni, a jednak mężczyzna musi o tem ciągle pamiętać, że jestto wzajemne zaufanie. Jeśli ono zawiedzie, wystarczy jedno słówko, a każdy spotkany czy obecny przypadkiem inny mężczyzna jest obrońcą bezbronnej.

Urywam, gdyż unosi mię liczba wspomnień i rozszerza opowiadanie. Wolę usiąść przy wuju i puścić wodze innym myślom i innym uczuciom. Schodzą się sąsiedzi i parafianie, czasem goście i oto gotowa gawędka. Dzień za dniem upływa jak szybkie a piękne marzenie senne. Za dobrze mi było, gdyż porzuciłem zamiar, aby powtórnie zwiedzić Detroit i Buffalo, tym razem dokładniej. Oglądałem jeszcze farmę polską i z niemałym wzruszeniem patrzyłem na zebranych w kościółku. Płynie pieśń polska, ludek mówi po naszymu. Mój Boże! Wszystko jak u nas. A przecież inaczej. Dzień powrotu ubiegał jak strzała. Godziny rozmowy z wujem zbiegały na układaniu planów tej dalekiej kampanii, koniecznej, a przykrej dla obydwóch. Obrałem inną linię kolejową, aby nowy kraj zobaczyć i wstąpić na chwilkę do Baltimore i Waszyngtonu. Miałem jechać koleją Baltimore-Ohio. Najlepiej poznanym rodakom w Milwaukee zostawiłem na pamiątkę nieudolny wierszyk, który pomieszczono w miejscowym tygodniku. Jest on wypływem minionego uczucia i dlatego zostawiam mu miejsce na tej karcie wspomnienia:

Dni tak niewiele, gdy od ciebie w dale
Przez oceany zaniósł mnie barka,

Ojczyzna droga! A już tęsknot fale
Płyną, choć myśl się wyrywa im szparka.

Kraina piękna, jak dziewczę swawolna,
Próżno wędrowca ciekawego nęci.
W sercu mem tylko ojczyzna niewolna
I ona tylko w myślach i pamięci.

Nad łąny długie, jak piaski Sahary,
I nad twych grodów dymy stufabryczne,
Milsze niebiosów naszych mi wiszary
I ptasząt naszych chóry stujęczne.

I nad tve złoto i nad mowę twoją,
I nad tve dzieje, nowa części świata,
Milszy nasz chłopiek, który grzędę swoją
Orze, w ubóstwie trawiąc życia lata.

Nad tve pomniki, granity i spiże
Milsza mi harda wawelska stolica,
Której podnóże modra Wisła liże
I starodawne odbija jej lica.

Lecz iż przyjąłś biednych moich braci,
I ja o tobie zapomnieć nie mogę.
Dobry uczynek niechaj Pan zapłaci,
Niech ci godową przygotuje drogę.

Żegnaj mi zdrowa! Krasna i szczęśliwa
W jasnościach stąpaj przez wieków godziny,
Niechaj bogactwa rodzi twoja niwa,
Niechaj się płodnie mnożą twoje syny.

Żegnaj kraino wolna i bogata!
Nie na twej szczęścia zażywać mi ziemi,
Bo tam już czeka ma niewolna chata,
Życ i pracować trzeba między swemi.

Żegnaj Ameryko! Żegnajcie rodacy!
Niech Bóg wam nową błogosławi ziemię!
Niechaj pomaga w każdej waszej pracy
I niechaj sławnem czyni polskie plemię!

Ja do dom wrócę i Polskę pozdrowię
Od was, co na tej ziemi dziś żyjecie,
A Polska sercem matki wam odpowie,
Matki najlepszej, jaka jest na świecie.

Wuj odprowadził mię na kolej. Był piękny ranek, który zdawał się żegnać pogodnym uśmiechem zbłąkanego wędrowca. Szliśmy w milczeniu, jak gdyby to nie była ostatnia chwila rozmowy. Tylko serce drżało w piersi, jakby się chciało wyrwać i odpocząć w krainie bezmyśli i pokoju. »Napisz z New-Yorku, którym okrętem wyjedziesz, abym wiedział, czy wróciłeś szczęśliwie i pozdrów twoją i moją matkę« — to były ostatnie słowa wuja w pożegnalnym uścisku. Wsiadłem do wozu i za chwilę straciłem z oczu wuja, a cały świat jakoby się zamglił przedemną.

* * *

Jechałem znowu wielką równiną, jechałem cały dzień, a myśli tak skłębiły się w mózgu, że ocknęła mnie dopiero noc nadchodząca.

Równo z świtem powitały mię Alleghany i wstęga wód Ohio. Patrzyłem bezmyślnie na wspaniałą krajobraz. Oko przesunęło się po jarach i przepaściach, po mostach skalnych, czasem doleciała pieśń dzikiego napół pastucha, a myśl nie mogła się opamiętać, czy to sen czy jawa. Tegoż dnia przed południem przybyłem do Baltimore.

Miasto kilkakroćtyśięczne i jak tu wyszukać ks. Barabasza, którego zamierzałem odwiedzić. Patrzą,

na pobliskiej ulicy widać napis sklepowy z polskiem nazwiskiem. Wstępuję śmiało i pytam się spotkanego mężczyzny: »*Please, do you speak polish, Sir?*« »*Yes Sir!*«^{*)} słyszę w odpowiedzi. »To bardzo pięknie,« odzywam się tą razą po polsku, »czy nie mógłby pan wskazać mi adresu ks. Barabasza.« Potoczyły się zwykle zapytania, a usłużny kupiec i zarazem mistrz szewiecki, gdyż takie było zajęcie poznanego obywatela, prosił mię, abym bodaj godzinę u niego zabawił, a potem poprowadzi mnie, gdzie zechcę. Trudno było odmówić cieplej prośbie i uniknąć milej pogadanki, która pouczyła mię nieco o stosunkach Polonii baltimorskiej. I tu bowiem mieszka naszych z górą 20.000, a tworzą trzy parafie.

Ks. Barabasz, Krakowianin, przyjął mnie gościnie, jak wszyscy rodacy w Ameryce. Wrócił właśnie z uczonej dysputy, którą prowadził z duchownymi innych wierzeń, oczywiście nikogo nie przekonawszy, ani też sam nieprzekonany przez nikogo. W mieście nie było co oglądać. Podobne do innych miast amerykańskich, z tą tylko różnicą, że nie posiada dwudziestokilkopiętrowych domów jak New-York i Chicago. Nie ma także dwunastopiętrowych sklepów, w których można dostać, czego się zażąda, poczynawszy od jadła, a skończywszy na biżuterii, ubraniach, maszynach i t. d. Ma je, ale cokolwiek mniejsze, lecz natomiast jest jak New-York miastem portowem i szczyli się prześlicznymi wybrzeżami. Wstrzymuję się więc od dokładniejszego opisu i wracam do mieszkania ks. Barabasza, gdzie zabiera mnie pod opiekę stary emigrant p. Ciołek-Zieliński.

Stary, słabowity literat, opowiada mi swoje *curriculum vitae* i odczytuje miłosne wierszyki. Już

^{*)} Przepraszam, czy pan mówi po polsku? — Tak jest, panie!

trzydzieści lat z górą gości na obcej ziemi, a przecież nie przylgnął tam sercem, lecz myśl wymyka się ciągle do porzuconego świata, do swoich. Winny temu prawdopodobnie niezbyt pomyślne koleje żywota. Kandydat niegdyś na katedrę uniwersytecką w którymś z południowo-amerykańskich uniwersytetów nie dopiął celu i musiał porzucić ulubione nauki matematyczne. Łódka żywota przerzucała go po bystrych falach, zaczynał wszystko, nie skończył niczego. Chwilami przypominał sienkiewiczowskiego »Latarnika«, bo jak u tamtego to zapatrzenie się w przeszłość zrywało mu najczęściej dobrze już związane nici losu. Na koniec przyszła niemoc i brak opieki. Swoi przytulili człowieka, a on w zamian pracuje, o ile może, w miejscowem pisemku. Jedyne pragnieniem pozostało, aby zapoznać Amerykę z literaturą polską. Świetne powodzenie powieści sienkiewiczowskich zdaje się być podatną reklamą. Myślał właśnie o przetłómaczeniu »Faraona« Prusa i podobno w tym roku przekład ten wyszedł już drukiem. Niestety siły nie dopisują, aby pomyśl należycie rozwinąć, a o dobrych tłómaczy nie łatwo. Dobrze chęci ziomka pójdą z nim razem do grobu, jeśli nie znajdą drugiego takiego człowieka lub przynajmniej zręcznego przedsiębiorcy.

Galerya nowych typów duchownych i świeckich przesunęła się przed oczyma. Wszystko nasze, a jednak jakieś odmienne. Zginęła kędyś owa dobroduszość słowiańska, a pojawił się duch inicjatywy i poczucie siły, które rwą się do rywalizacyi w amerykańskim pościgu za milionami i zdobędą je kiedyś bezwzględnie.

Gromadka naszych wybierała się na wycieczkę morską i zapraszała mnie z sobą. Podziękowałem, gdyż należało oglądać Waszyngton, znajdując się

tak niedaleko od tej stolicy potężnych Stanów. Nie miałem czasu szukać kolonii polskiej, która i tutaj ma swoich przedstawicieli i puściłem się sam na zwiedzenie miasta. Niedokładna znajomość angielszczyzny utrudniała mi nieco położenie. Nikt ze spotkanych nie rozumiał ani po francusku ani po niemiecku. Doszedłem do przeświadczenia w ciągu całej podróży po Ameryce, że farsą jest, co się mówi o światowości języka francuskiego lub niemieckiego. Taksamo światowym jest język polski, którym mogłem się porozumiewać we wszystkich miastach Ameryki. Trzeba oczywiście zaglądnąć do swoich. W tem samem położeniu znajduje się Francuz i Niemiec. Powszechnym językiem w północnej części Stanów Zjednoczonych jest jedynie angielski, w południowych do połowy hiszpański. Niezbędne jest umieć bodaj cokolwiek po angielsku, a poza tem można wygodnie mówić po swojemu. Wśród naszych osadników, zwłaszcza starszych, jest bardzo wielu, którzy nie-szczególnie mówią po angielsku, gdyż w polskiej dzielnicy wystarcza im własna mowa.

Waszyngton jest miastem pięknem i nie sprzeciwiam się wcale Amerykanom, jeśli go uznają za najpiękniejszy swój gród. Zbudowany jest w kształcie promiennej gwiazdy. Promienie stanowią ulice, środek Kapitol. Miasta amerykańskie są zbudowane nadzwyczaj regularnie, w kłopot wprawia jedynie chyba nadzwyczajne podobieństwo budowli i mnogość ulic. W Waszyngtonie oryentacja jest jeszcze łatwiejszą, gdyż każda ulica prowadzi do Kapitolu. Najpiękniejszą ulicą jest Pennsylvania Ave., na której, o ile sobie przypominam, stoi także Biały dom, mieszkanie prezydenta Stanów. Myślałem nie na żarty, aby prezydentowi złożyć uszanowanie i kilka kompli-

mentów dla Ameryki. Wstrzymał mnie wzgląd na angielszczyznę i na nadużywania interwiewów. Wobec tego, nie chcąc tracić czasu, oglądałem majestatycznie dumny obelisk, kolumnę Waszyngtona, a następnie skierowałem kroki do Kapitolu. Jest on tak ogromny, że stanawszy w pobliżu, trzeba zaczerpnąć powietrza. Tworzy czworobok, a dokoła obiega kolumnada, przerywana u wchodów wspaniałymi portalami. Szczyt zdobi wyniosła kopuła, przypominająca Panteon, niezmiernej wielkości. Ponad oknami snują się głowy różnych znakomitości międzynarodowych i typy wszystkich ras i plemion ludzkich. Przepyszny park o zwrotnikowej roślinności okrywa stoki Kapitolu, a tu i owdzie w symetrycznych odstępach odsłania pomniki prezydentów i wielkich mężów, a także fontanny z całym światem greckiej mitologii. Naprzeciw głównego wchodu umieszczono monument Waszyngtona. Wielki prezydent, w postawie siedzącej, wygląda majestatycznie. Wszystko to są dzieła Europejczyków, a niektóre wykonane nawet w Europie. We wnętrzu urządzono wspaniałe atrium. Ściany są marmurowe; malowidła, złocenia, rzeźby i sztukaterie ciągną się aż do szczytu kopuły. Malowidła przedstawiają bohaterskie sceny z walki o wolność i wielkie dzieła pokoju. Miło mi było ujrzeć Kościuszkę, którego także pomieścili Amerykanie w swym Kapitolu i uważają go za jednego z swoich bohaterów. Przepych bogactwa i ogrom kształtów walczą o lepsze w tej budowli, największej, jaką widziałem na świecie, a godnej wielkiego i bogatego narodu.

Kolibry fruwały ponad klombami kwieciami i towarzyszą mi do obok stojącej budowli. Nie mogę wejść do wnętrza, gdyż jest zamknięta, dowiaduję się

tylko, że ma to być biblioteka. Sąsiadka, godna Kapitolu, uśmiecha się do widza złoconem nakryciem. I tutaj ogrom i bogactwo nie pozwalają w pierwszej chwili na krytykę i zwolna dopiero poczyną cię razić jakiś brak w tych wspaniałych budowlach, którym nie dostaje skończonej doskonałości formy greckiej i oryginalności, właściwej starym zamkom, pałacom i świątyniom Europy. A jednak musisz przyznać, że naród zrobił, co mógł i jeśli cierpiał na ogólną wadę wieku, stworzył przecież dzieła, które pozostaną chlubą najdalszych potomków. Żadna z nowszych ogromnych budowli europejskich nie uderzyła mię w tej mierze pięknem, jakie nasuwa widok Kapitolu i biblioteki waszyngtońskiej.

Tuż przy Kapitolu mieści się z jednej strony siedziba bogaczy, a zaraz obok uboga i niechlujna dzielnica murzyńska. Czarnych obywateli jest w Waszyngtonie wielkie mnóstwo, a liczba ich rośnie coraz bardziej ku południowi. Niektóre stany mają tam do połowy ludność murzyńską. Są to potomkowie niedawnych niewolników, których smutne dzieje opisała w sławnej swojej powieści pani Beecher Stowe. Dzisiaj murzyn jest wolnym i nie trudno ci spotkać wystrojonego na ostatni guzik czarnego gentlemana lub elegancką czarną lady. Biedniejsi za to wyglądają obrzydliwie i niechlujnie. Istne dzieci Tartaru. Pomieszanie elegancyi z niechlujstwem jest ciekawym rysem rasy murzyńskiej, która jest w tym względzie podobną do żydów. Rząd amerykański nie jest jednakże zupełnie sprawiedliwym dla swych czarnych obywateli. Istniejące w Stanach prawo lynchu pozwala niejednokrotnie na karygodne nadużycia, których rząd nigdy nie karci. Godny politowania jest każdy czuły murzyn, który zwróci bezwzajemne afekty do białego

ideału. Jeżeli miłość kryje platonicznie, nic mu to nie szkodzi, lecz biada, jeśli na wzór białych adonisów spróbuje użyć przemocy lub podstępu. Ginie nieodwołalnie na pierwszej spotkanej latarni, a z nim wszyscy współplemieńcy, którzy ośmielą się go bronić. Prowadzi to do krwawych scen, których widownią mają być bardzo często południowe stany. A przecież można napotkać mieszane małżeństwa i licznych mulatów. Typ to, który tylko barwa skóry odróżnia od białych. Mężczyźni mulaci są znakomicie zbudowani, a kobiety odurzają bujnością hebanowych włosów i żarem czarnych, dużych oczu. Bogaci Amerykanie wchodzą bardzo często w morganatyczne związki z takimi pięknosciami, które umieją podobno bardzo wysoko cenić swoje wdzięki.

Napoilem się Waszyngtonem i widokiem mulatek, gdy godzina odjazdu zmusiła mnie do powrotu. Najutrz byłem w New-Yorku, a ponieważ już tylko jeden dzień pozostawał mi wolny, trzeba się było wyrzec przyjemności, aby oglądnąć sławną amerykańską szkołę wojenną, zorganizowaną podobno przez Kościuszkę i znajdujący się tam monument Kościuszki. Opowiadano mi, że szkoła leży na wysepce przybrzeżnej, a monument stanowi ogromna skała morska, na której u wierzchu wyryte jest imię i nazwisko naczelnika naszej walki o niepodległość. Lękałem się stracić kilka godzin na jazdę tam i z powrotem, gdyż w razie przypadkowego spóźnienia moja »Gascogne« mogłaby najwygodniej odbić od brzegów Ameryki i zostawić mnie z bezwartościowym biletem w kieszeni. Żalowałem bardzo, lecz musiałem sobie powiedzieć, że niepodobna przecież oglądnąć wszystkiego w sześciu tygodniach. Nie byłem w sławnym Yellowstone-Parku, nie byłem na Kubie, choć tam

toczono wojnę, widziałem natomiast inne rzeczy i trzeba było z konieczności z losem się pogodzić. Tak mnie też pocieszał nieoceniony p. M., który w tym dniu był zaraz od początku moim ciceronem w New-Yorku.

Chcąc dzień jak najlepiej wyzyskać, wybraliśmy się koleją napowietrzną do kąpieli morskich w Coney Island. Znajduje się tam wszystko, czego pożąda dusza i ciało przeciętnego Nowoyorczyka. Olbrzymie koła, karuzele, miniaturowe podróże tunelami do Klondyke, zaspokajają najżywsze nawet pragnienie ruchliwości. Prócz tego nagromadzono tam najróżnorodniejsze przyzwroite i nieprzyzwroite uciechy całego świata, a więc: piekło dantejskie, tańce derwiszów, haremy skocznych odalisek, ustronia bajaderek, śpiewy szansonistek, tańce i ćwiczenia ekwilibrystyczne przeróżnych kuglarzy itd. Jest tego mnogość niesłychana, a przed każdym pawilonem stoi przedsiębiorca z całą swoją trupą i niesłychaną gadatliwością zwabia ciekawych. Nie widziałem i nie słyszałem ludzi, którzy obfitością słów bardziej przypominaliby katarynkę, niż owi okpiświatowie z Coney Island. Długimi korytarzami dochodzi się do morza, gdzie można napatrzeć się kąpiącym lub samemu użyć wybornej morskiej kąpieli. Obie płci kąpią się razem, a swoboda zachowania się nie zna granic. Tysięczne piwiarnie i jadalnie nie mogą nastarczyć rozbawionym tłumom. Oszuści obojej płci czyhają na łatwowiernych, aby za drobnostkowe przyjemności jak najwięcej wyłudzić. Obchodziliśmy wszystko, co dało się oglądać w przeciągu pięciu godzin i przesyleni zabawą wróciliśmy do New-Yorku. Kato obyczajowy rzuciłby gromy potępienia na cały Coney Island, a jednak dobrze go zobaczyć, bo nigdzie na

świecie, wyjąwszy okolice New-Yorku, nie zobaczy się takiego wyuzdania europejskiego, połączonego z przyprawą amerykańską. Ludek nurza się w zabawie, aby nazajutrz wrócić do codziennych zajęć i zebraną oszczędność wydać niezadługo znów w Coney Island lub innej podobnej arenie dla gawiedzi wszystkich warstw społecznych. Wszyscy kuglarze noszą tam tytuły europejskich hrabiów i książąt; prawdopodobnie wydaje się to zręcznym przedsiębiorcom niezłą reklamą. Nawet murzyńskie, arabskie i indyjskie osobliwości piastują z urodzenia jakieś wysokie godności w swem plemieniu. Blichtr i orgia, nie mająca sobie równej, a jednak, będąc naiwnym można jej nie widzieć.

O 11. rano odbił Gascogne od brzegu. Myśl o długiej podróży morskiej uczyniła mię nieczułym na wszystko, co przeżyłem w dopiero co upłynionym czasie. Przed niespełna dwoma miesiącami rozbił się francuski także statek Bourgogne, na którym 600 osób postradało życie. Dziwna rzecz! Tym razem morze przejmowało mnie trwogą, gdyż zniknęła ciekawość, jaką nastrecza rzecz niewidziana. Towarzysze należeli wyłącznie prawie do rasy łacińskiej. Najhałaśliwsi byli Francuzi, najspokojniejszymi dumni Hiszpanie. Para Rumunów bawiła wszystkich, chciała zapewne wkupić się w łaski swojej rasy. Byli śpiewakami, więc usiłowanie nie zostało daremne. Włosi bawili się z żonami, a ja rozmawiałem, z kim mogłem. Najczęściej wyszukiwał mnie samotny również Niemiec, z którym nikt nie chciał mówić jego nadsprejską gwara, a może nie umiał. Chronilem się, jak mogłem, lecz nie zawsze udało mi się wywinąć. Francuzi i Hiszpanie traktowali mnie nader uprzejmie, śnać nie przebrzmiał im jeszcze sławny niegdyś dźwięk wyrazu: Polak.

Niebawem ułożyło się pożycie okrętowe, a było ono stokroć przyjemniejszym, niż na niemieckim okręcie. Ludzie byli jacyś inni, rasa wyższa i szlachetniejsza. Miejsce pospolitej szwabskiej rubasznosci zajął grzeczny dowcip lub zręczne wyrażenie. U każdego widziałeś poczucie własnej godności i godności towarzysza. Schludność i kuchnia były również o wiele lepsze niż na okrzyczanych statkach niemieckiego Lloyd'u. Znikły szerokie pijatyki i karczemne spluwanie po cygarach; pogawędki i zabawy towarzyskie przy francuskim winie lub czarnej kawie przypadały bardziej do gustu. I znowu mijał dzień za dniem, a Atlantyk witał nas codziennie pogodnym niebem. Raz tylko zerwała się burza i tak kołysała statkiem, że maszty układały się równo do poziomu morza, a bałwany przebiegały przez międzypokład. Trwało to dwie godziny i wspaniała naprawdę był widok spiętrzonych fal, przypominających podgórszą okolicę.

Majtek obudził mię na żądanie wczesnym rankiem, abym mógł oglądać wschód słońca, do którego kolebki zbliżam się coraz bardziej. Morze wydobyło się już z pomroki, a powierzchnia jego wygładziła się jak zwierciadło. Na krańcach wschodu ubrało się w lśniący fiolet, a widnokrąg różowił się jak świeże jagody dziewicy. Trwało to kilka minut. Nagle w oko wpadł silny promień tak, że musiałem przy-mrużyć powieki. Gdy je otwarłem, ogromne słońce wynurzało się szybko z fal oceanu, zupełnie tak samo, jak o tem opowiada ślepy twórca nieśmiertelnych powieści Hellady. I znowu upłynęło kilka minut, a słońce rozprószyło czerwień widnokregu, zmarszczyło tonie wody i zapanowało wszechwładnie nad naszym światem. Tylko poblady nieco błękit opowiadał o wczesnej godzinie poranku.

Po siedmiu dniach podróży ujrzelśmy skaliste stoki Normandyi i wpływalśmy niespokojnym kanałem do Hawru. Na widok portu skupiło się towarzystwo. Francuzi zanucili jakąś pieśń żeglarską, witając ziemię, a potem popłynęły silne dźwięki Marsylianki. Gascogne stanął na kraju portu, z którego wypłynął mały stateczek, aby nas dowieść do brzegu. Noc tę spędziłem już w Paryżu. Szybki pociąg unosił mnie przez kilka dni po ziemiach zachodu Europy. Za Wiedniem doleciał do uszu dźwięk bratniej mowy czeskiej. Na Śląsku poilem się już własną mową, a drżąc cały od szczęścia wjeżdżałem niezdługo w mury Krakowa. Piękny cały świat, lecz najpiękniejszy własny kraj, własna mowa i własny obyczaj. Najpiękniejszy, najmiłszy i najukochańszy!

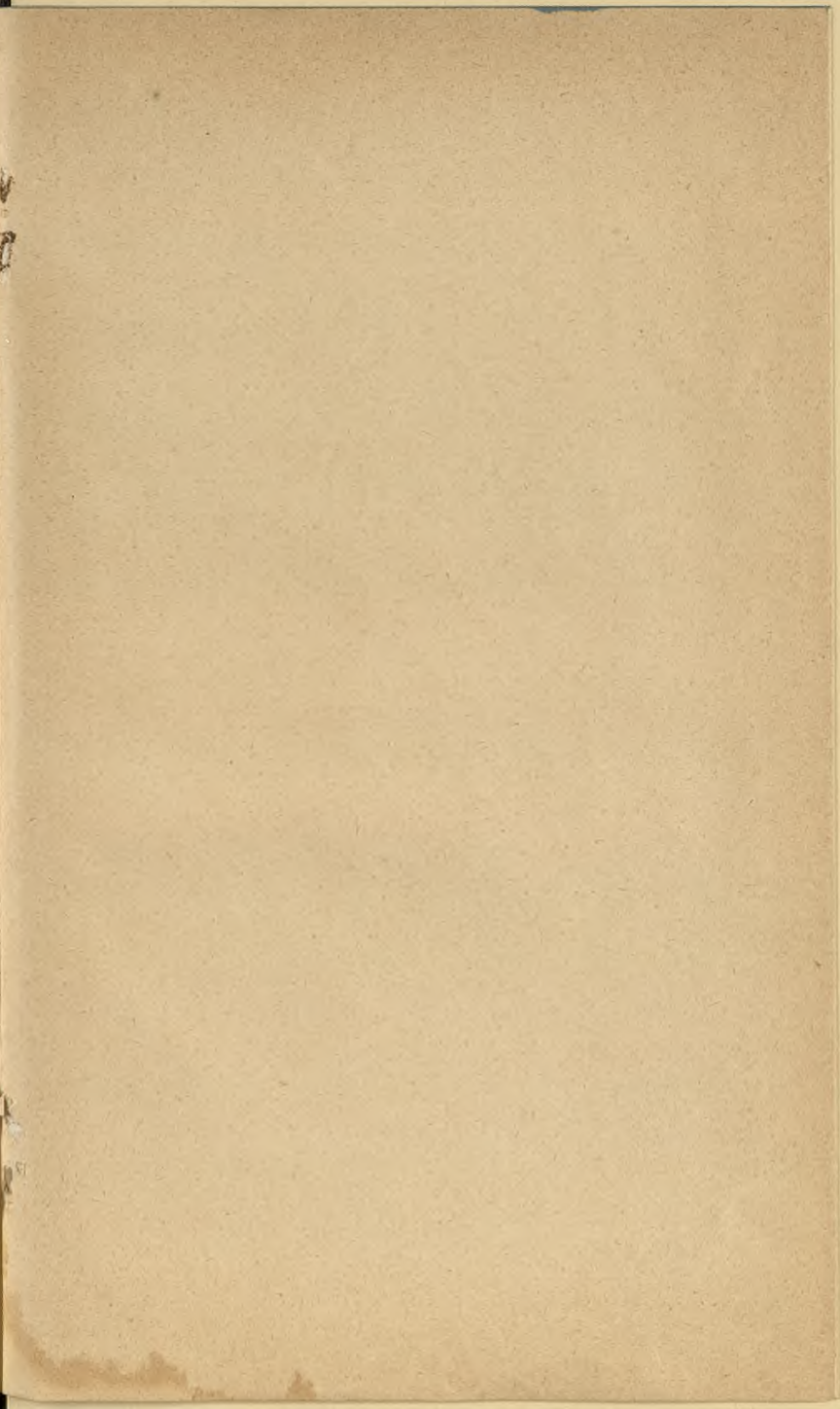


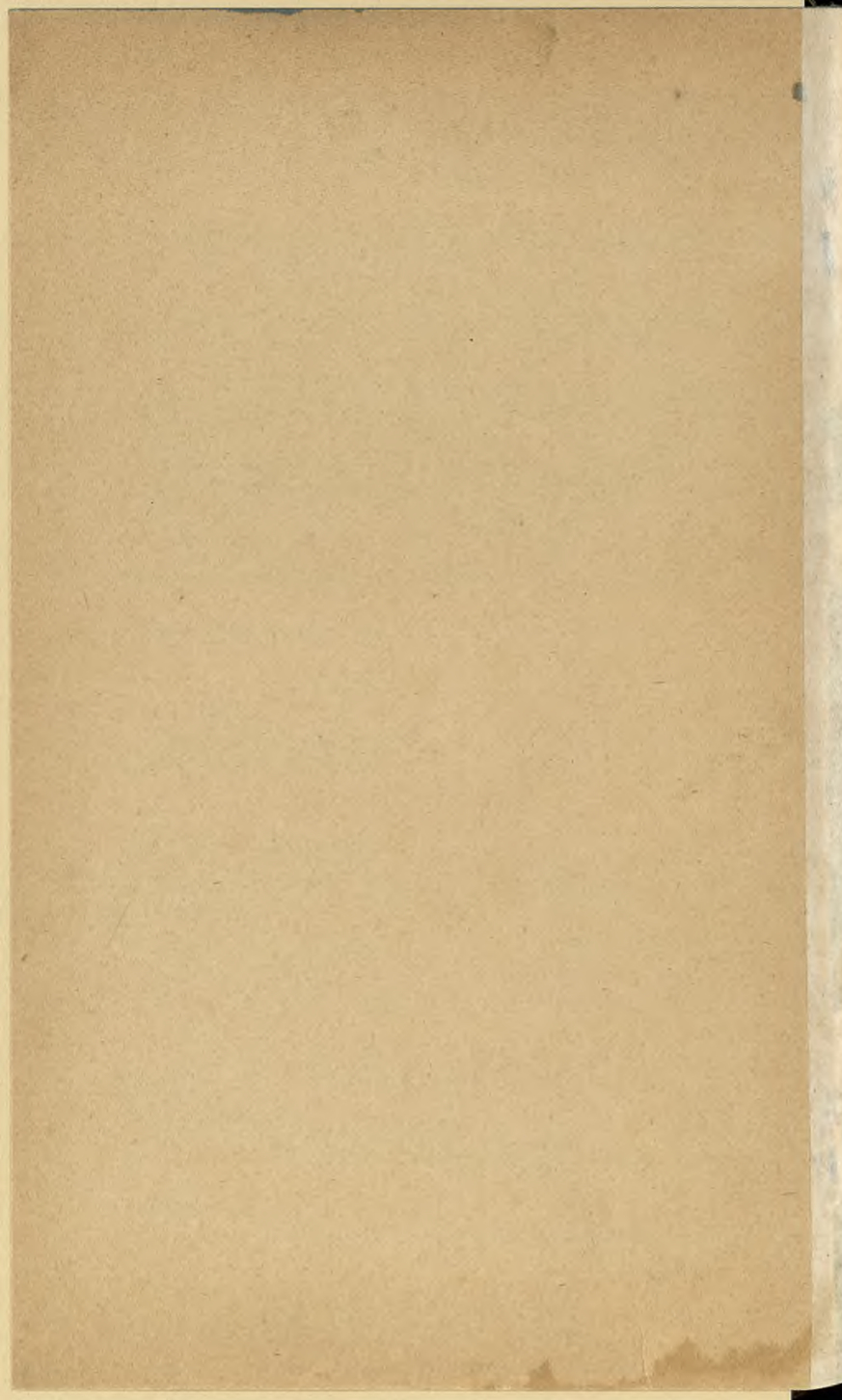
Niektóre omyłki druku:

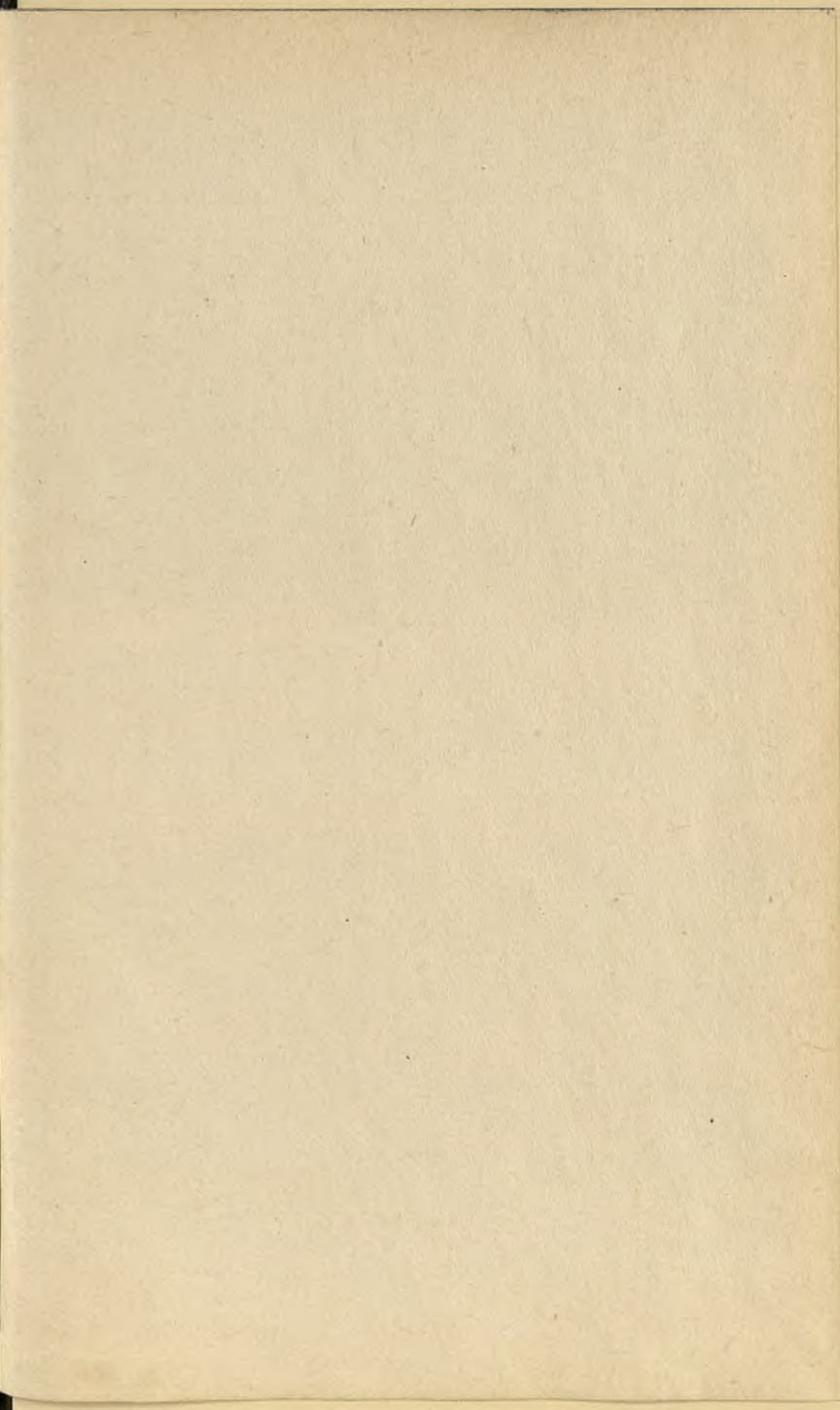
Na str. 14. zamiast *businessu* ma być *business'u*.

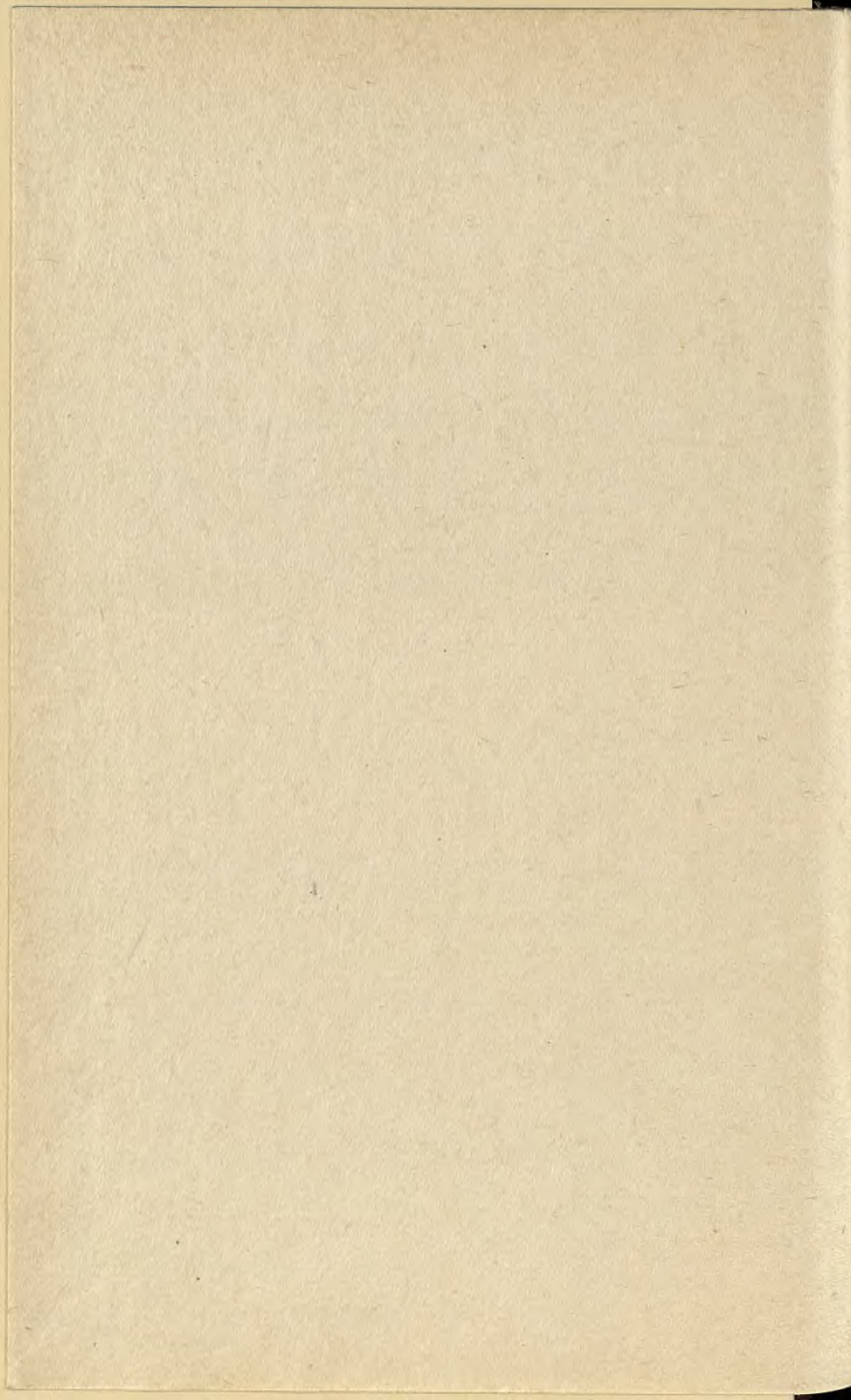
» » 29. » gentelmen ma być gentleman.

» » 38. » Płowian ma być Słowian.











Książnica Cieszyńska

KD I 158